



Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebora, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.

Treść Numeru. Kanton Grizonów i rodzina Camenisch na Heinzenbergu. — Na Prowincji, powieść w dwóch częściach przez Elżę Orzeszkową. — Lamartine. — Obrazy na wystawie zachęty sztuk pięknych w Warszawie. — Pagoda podziemna. — O ubiorach.

KANTON GRYZONÓW

I RODZINA CAMENISCH NA HEINZENBERGU.

(Dokończenie.)

Matka rodem z *Versam*, wioski niemieckiej położonej na odwrotnym stoku *Heinzenbergu*, zaślubiła najbogatszego z włościan romańskiego górskiego sioła *Sarn*. Ród *Camenisch* idący zapewne od przodków co się w służbie zagranicznej oglądali, wyróżniał się już od dawna większą oświatą od innych tejże samej wsi mieszkańców, a przewagę jego nad niemi ustalała niepospolita zamożność. Oprócz gruntów i domów w różnych miejscach, pastwisk, chat i szalasów na różnych stopniach wysokości góry, rodzina *Camenisch* jest jeszcze wierzytelką większej części sąsiadów bliższych i dalszych w całej okolicy. Przewaga ta wszakże ogranicza się głównie na przodowaniu w radach gminnych, bo co się tyczy cywilizacyjnych wpływów; tych osiągnąć niepodobna nad ludnością obstarującą uporczywie przy tradycyjnej ciemności i nieledwie dzikości, a niewątpliwie rodzina *Camenisch* idąc w tem także ubitym w owym kraju torem, o wpływ tego rodzaju nigdy się nie pokusiła, troszcząc się jedynie o utrzymanie oświaty wśród własnych swoich członków. Jednakże czy to skutkiem tego, że na całej tej stronie zapewne tylko ta jedna rodzina góruje nad surową jej ludnością, czy z powodu zamięłowania w uprawie roli i chowie bydła, zamiast oddania się przemysłowi i handlowi, jak robi w innych miejscach większa część wzbogaconych za granicą Grizonów, a najpewniej dla obu tych przyczyn, przez które stosunki rodziny *Camenisch* ograniczają się prawie jedynie do miejscowych, zachował się w niej sposób życia zupełnie prosty, patryarchalny. Obecnie zajmujące nas pokolenie tej rodziny składa się z liczego rodzeństwa, bo z trzech siostr i pięciu braci. Dopóki żyli rodzice matki, dzieci z kolei oddawane były do domu dziadków w *Versam* dla korzystania z dobrej szkoły i wyuczenia się niemieckiego języka. Pobyt w okolicy tak blizkiej przestrzeni a tak niewypowiedzenie dalekiej cywilizacji, zostawił na młodych umysłach wrażenie exaltowanego uwielbienia dla tamecznych krewnych i znajomych, i rozkoszne to uczucie pozostało w ich sercach na zawsze, dźwięczy za każdym dotknięciem tej struny, w wierszu i w prozie Niny i Georga, pod piórem i na ustach w każdej pogadance rodzinnej. W późniejszych latach tak synowie jak córki wysyłano do zakładów naukowych po większych miastach, najczęściej nawet

do innych kantonów. Ale obyczaj domowy w nim się nie zmienił, i każdy z członków tej rodziny wracając z pewnym zasobem wiadomości i światła, powrócił jednak do wieśniaczych zajęć, tylko ubarwionych przyjemnościami jakich wykształcenie umysłowe dostarcza. W urzędzeniu domowym nie znajdziesz żadnego komfortu ani elegancji, jakie zamożność i oświata powinny by z sobą przynieść: w nieozdobnych izbach sprzętów nie wiele, stoły, ławy i stołki proste i grubej roboty, firanki u okien i łóżek własną ręką pań domu uprzedzone i utkane, wszystko nacechowane surowym tej krainy stanem, lecz w tej samej izbie gdzie uderza brak wszelkich wygód i wykwintniejszego smaku, zdziwi zbiorek książek dość liczny i wyborowy, a przy bliższym poznaniu tej rodziny całkiem wieśniaczej, sposobem życia, roddajem pracy, a nawet powierzchownością i po części obejściem, powtórzy się to wrażenie jakie obudza widok jej mieszkania, — wrażenie nie spotykanych nigdzie więcej a dziwnych sprzeczności.

Ojciec już nie żyje od lat kilkunastu. Matka kobieta zupełnie prosta, gospodarstwu oddana, nie byłaby w stanie skreślić listu bynajmniej poprawną pisownią, lecz mimo to sąd ma zdrowy, wyrobiony, pojęcia jasne i wyższe aniżeli nie jedna dama z wykwintnych salonów.

Najstarsza z rodzeństwa Nina, zastępuje dziś matkę prawie 70-letnią w najcięższych i najgrubszych gospodarskich pracach, nawet trzodzie chlewniej własną ręką karm przyrządza i podaje, a w chwilach odpoczynku czyta *Göthego*, *Szekspira* i wiersze pisze. Prosta aż do zaniedbania, naturalna bez żadnego rodzaju przesady ani pedanterji, zaczęła pisać nie w pretensji do autorstwa lecz dla własnej rozrywki, w miarę jak jej wyrazi dyktowało jakieś uczucie, jakaś myśl lub obraz, nie przypuszczając nigdy aby jej pisma mogły mieć jakakolwiek w oczach drugich wartość. I byłoby pozostały pewno nieznanie nikomu, gdyby ją nie był zdradził prosty bardzo wypadek. Pewnego dnia siostry znacznie od niej młodsze, w czasie jej nieobecności szukając czegoś w jej szufladzie, dostrzegły w niej kartki ręką Niny wierszami zapisane. Przejrzawszy je a poznuwszy z treści i wyboru przedmiotów kto był ich twórcą, pobiegły ze śmiechem opowiedzieć wszystkim że Nina wiersze pisze. Doniosło się to do pastora *Ottona Carisch* przyjaciela tej rodziny; ten zażądał by mu pozwolono przejrzeć te drobne utwory, i wkrótce je wydał bezimiennie pod tytułem: *Gedichte eines bündnerischen Landmädchens*. Drugie dopiero pomnożone wydanie ogłosiło nazwisko autorki. Odtąd pojawiają się nieraz w periodycznych pismach Szwaj-

carskich nowe wiersze i gawędy ludowe prozą spisane przez Ninę *Camenisch*.

Georg jest z całej tej rodziny typem rzecz można najpowszechniejszym, zważywszy warunki w jakich się wychował i te w jakich obecnie żyje. Za młodu czuł on w sobie powołanie do stanu duchownego i w tym kierunku nauki odbywał. Lecz już na kursach teologicznych w Chur pojawiać się zaczęła u niego choroba oczu, która pogorsząc się z laty zmuszała go kilkokrotnie do przerywania nauk, a w końcu do zarzucenia ich bezpowrotnie. Czarna katarakta odebrała mu wzrok zupełnie. Całe zatem jego życie postawiło go w stosunku wyjątkowym względnie o resztę rodziny, której prac wieśniaczych nie podzielał nigdy. Nieszczęśliwe kalectwo skazując go na życie bezczynne i po większej części samotne, zmuszając do skupienia się wewnątrz, rozwinęło wrodzoną mu skłonność do marzycielstwa i zdolności poetyckie, a głęboko religijne uczucie podniosło do wielkiej wysokości, do exaltacji wpadającej niekiedy w mistycyzm, który się daje szczególnie dostrzec w niektórych z jego poezji, jak n: p: w wierszu „Zmartwychwstanie.“ Wszystkie jego utwory dotąd tylko w rękopismach przez bliższych znajomych czytane były: ma jednak zamiar w krótkość znaczny ich zbiór drukiem ogłosić. Najgodniejsze uwagi z pomiędzy nich są Legendy wierszem, zbierane prawie z całego kantonu, w kraju tak jeszcze pierwotnym, gdzie pod oczy podpada tyle śladów dawnych wieków, przechowało się niezliczone mnóstwo tradycji i podań nader ciekawych, bo dających miarę tego wszystkiego, czego przy ciemności ogólnej dzieje nie przekazują potomnym. Georg zmuszony posługiwać cudzem piórem, a przy licznych zajęciach rodziny nie mogąc w każdej chwili otrzymać tej pomocy, układa sobie wszystko w pamięci, nieraz po parę tygodni nosi w myśli wykończony poemacik, czasem więcej niż jeden, i jeszcze okrzeseuje i przerabia, aż póki nie znajdzie kogoś komu swój utwór podyktować może. Przebywał on więcej niż reszta rodzeństwa w innych kantonach i miastach, bo nie tylko w młodym wieku dla nauk, przydłużonych jeszcze z powodu obranego zawodu, ale później wiele razy dla leczenia, i pozawiazał dosyć stosunków, które utrzymuje jeżeli nie osobiście, to przynajmniej listownie. To częstsze zetknięcie się z wyższą cywilizacją robi go bardziej wymagającym, i więcej go od innych razi prostactwo okolicznych wieśniaków, a choroba sprawia iż jest niepoprzedliwym i z cierpkością każde nieukontentowanie objawia. Mówi zawsze z przekąsem i ironią o stanie dzikości swoich współrodaków, którzy nawzajem zdaleka omijają tak ró-

żnego od nich sąsiada, tem bardziej że nawet brakuje między nimi spójni jednakowego rodzaju pracy, a sposób życia jaki zawsze prowadził, wybił się odrębnym piętnem na jego powierzchowności, nadając jej pozór delikatny, prawie arystokratyczny.

Młodzi bracia po odbyciu nauk w szkołach, niektórzy nawet zagranicą, za powrotem na *Heinzenberg* wspólnie z najemnikami najcięższe rolnicze odbywają prace i na letnie miesiące wychodzą z trzodami do górnych pastwisk; ale na zimę znów się zgromadzają razem, i gdy ostre mrozy, ogromne śniegi i wichry przeraźliwe trzymają ich jakby w oblężeniu zamkniętych w grubej warowni, rozrywką tych długich smutnych miesięcy w domu *Camenisch* jest głośne czytanie najlepszych pisarzy.

Najmłodszym dzieckiem jest Kunegunda, która jak to słyszeliśmy, — niby Józef w Mezopotamii przez ojca patriarchę Jakóba wysłany na dalekie pastwiska do braci, — poszła dowiedzieć się na górę gdzie przebywają trzody przez lato, a przy nich bracia *Camenisch*. Jest to śliczne młode dziewczę, świeże jak róża alpejska. Podziela ona ochoczo ciężkie gospodarskie prace rodziny, szczęśliwa boukochana od matki i starszego rodzeństwa; brak jej tylko towarzyszek równego z nią wieku: młode dziewczęta z ich wioski bez żadnej oświaty ani okrzepienia nie przypadają jej wcale do smaku. Hoża góralka w braku ludzkiego wynalazła sobie towarzystwo stosowane dla dziecka natury: ukochała kwiaty i rośliny i z zamiłowaniem oddaje się botanice. Uczy się jej bez innej pomocy jak z książek i pielęgnuje w kątku podwórza niby ogród botaniczny, który jednak mimo jej czułych starań nie w bardzo świetnym jest stanie, przy tak surowym klimacie.

Z całego rodzeństwa jedna tylko średnia siostra Margreta wyszła za mąż do pobliskiej wioski. Nina nie chciała nigdy słyszeć o małżeństwie, żaden z braci nigdy o niem nie pomyślał, gdyż w takim razie potrzebaby się rozłączyć, rozstać z ojczystymi progami... Nie zastanawia nikogo przywiązanie do ziemi rodzinnej, uczucie wrodzone, wspólne wszystkim narodom, pod wpływem którego każdemu kraj jego najpiękniejszym się wydaje: zapytać o to Lapończyka, Murzyna lub Indyanina a każdy swoją ziemię nad wszystkie zachwalać będzie, i każdy w oddaleniu od ojczyzny tęskni za nią i z radością powraca, wyjawszyszy takie ludy lub jednostki w których zmaterializowanie stłumiło wrodzone ducha popędy. Niemiec i Anglik pyszną się swoją ojczyzną, żaden kraj inny nie wyrówna jej w niczem, a przecież za zyskiem z łatwością odchodzą daleko od niej, dla zysku osiedlają się na zawsze w tych pogardzanych krajach i o powrocie nie myślą ani dla siebie, ani dla potomstwa swego. Szwajcar odbiega czasowo od swojej ziemi, tęskni za nią całą duszą, wszystkie jego zabiegi dla zabrania dóbr mają za cel ostateczny powrót w swoje góry i pozostanie wśród nich już aż do śmierci. Ale dla mieszkańca *Graubünden* wyobrażenie ojczyzny nie odnosi się do Szwajcarii, ani do swego kantonu nawet, tylko do swojej góry lub doliny, do rodzinnego gruntu i chaty. Uczucie to tak jest spotęgowane w rodzeństwie *Camenisch*, że nie daje miejsca żadnym innym uczuciom i pragnieniom. Rodzice zmuszeni byli oddawać dzieci na nanki do miejsc dasyć odległych, gdyż inaczej każde z nich pojawiałoby się nazbyt często w rodzicielskim domu, z uszczerbkiem dla nauk: lecz oddalone tęskniły bez miary, chociaż przebywały w łagodniejszym klimacie i przyjemniejszą zaiste jest muzyką plusk fal jeziora, aniżeli huk gromom spadających mas śniegowych ze szczytu *Domleschbergu*. Jednakże do tej dziwy wrócili z postanowieniem nie narażenia się nigdy dobrowolnie na tak bolesne wygnanie. Cztery z braci, młodzieniec wiele obiecujący, został oddany do szkoły Politechnicznej w Karlsruhe: dwukrotnie ciężko chorego musiano do domu zabierać, i gdy za potwórnym zapadnięciem, lekarze uznali iż tylko tęsknota głęboka, jest źródłem choroby, która złe mieć może następstwa, zmuszeni się widzieli rodzice zostawić go w domu bezwarunkowo. Dzisiaj więc, bez żadnych innych nadal zamiarów jak nieopuszczania nigdy dachu, pod którym na świat przyszli, żyją wszyscy po spólnie, nie dzieląc się ojcowizną, razem pracując, zadowolnieni ze swojego bytu i z nader skąpych przyjemności jakie w tak ciasnym obrębie stworzyć sobie można. Coby na to powiedzieli mieszkańcy miast wielkich? Ale czyż nie jest mądrzej znajdować wielką radość w małych rzeczach, aniżeli odwrotnie.

Pewna niemiecka Grafini udzielająca światu za pośrednictwem jednego z dzienników odniesione w podróżach swych wrażenia, spotkawszy się gdzieś z wiadomością o sielskiej rytmotwórczyni, i pragnąc opisem tego niezwykłego zjawiska, urozmaicić swoje sprawozdanie, zwiedziła *Heinzenberg, Sarn* i rodzinę *Camenisch*; lecz uznała go godną krótkiej tylko wzmianki, dodając iż się mocno w oczekiwaniu zawiodła, bo chcąc poznać poetkę, znalazła tylko nieokresaną chłopkę. A jednakże ci co mają sposobność nie z chwilowego widzenia poznać tę chłopkę, a nawet nie tylko z jej poezji, lecz z bliższych z nią stosunków i z jej listów niewymuszonych, lecz serdecznych i wyrazistych, gotowi powołać się na wyrzeczenie, iż ta pozornie bardzo pospolita postać, duchowo a poniekąd i umysłowo wyższą jest niechybnie od niejednej uperfumowanej sawantki z eleganckiego świata.

Pisma Niny odpowiednie są we wszystkim jej osobie, forma ich niewyszukana, i z tej strony uważane zaiste dalekimi są od zadowolenia wszystkich wymagań sztuki i może nie zwróciłyby na siebie żadnej uwagi; tylko wewnętrzna ich istota ma niezaprzeczoną wartość obok wielkiej skromności. Przedmioty wybiera arcy-proste: są to uciechy wiejskiego życia, błogość uczuć rodzinnych, wspomnienia z dzieciństwa, miłość ojczyzny i rodzinnego zakątka, opisy wrażeń jakie przyroda obudza. Jednak obok obrazów sielskiej prostoty nieraz błysnie myśl wyższa, zajaśnieje wznioślejsze uczucie, — uczucie powinności, poświęcenia najśrodszych serca węzłów dla spełnienia wielkich obowiązków; i uczucie to podniesione do takiej wysokości, że nie wydzierając z serca miłości ku temu co drogiem było, nie zacierając pamięci i tęsknoty zatem co porzucone, — oddanie się wielkiemu posłannictwu, spełnienie najcięższego obowiązku, staje się dla duszy nadgodą, pociechą, rozkoszą nawet. Taka myśl panuje między innemi w wierszu: *Siostra miłosierdzia i Święty Bernard*. Tak w tych jak w innych, nie zachwyci udatność formy, nie zdziwi oryginalność pomysłów, nie olśni jaskrawa fantazja, — ale z nich wieje uczucie rzewne i serdeczne, prawda i owa mądrość wyższa nad wszelkie argumentowane teorie, mądrość którą Bóg u ludu złożył w obyczaj.

NA PROWINCJI

POWIEŚĆ W DWÓCH CZĘŚCIACH

PRZEZ

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

Bolesław został w altanie, na jednym miejscu, oparty o drzewo. Twarz jego przybrała całkiem nie zwykły wyraz. Po ustach błędził uśmiech gorzkiego szyderstwa, oczy utkwione w ziemię płonęły poępnym blaskiem z którego łatwo można było wyczytać, stopniowe konanie w sercu wielu wiar i nadziei.

Bardzo powolnym krokiem opuścił altanę. Gdy stanął na progu pokoju, pierwszy raz oderwał oczy od ziemi, powieki jego podniosły się z trudnością jakby je tłoczyła niewidzialna jakaś siła. Spojrzał i zobaczył na środku pokoju stojącą Wincunię, z obwieszami rękami i bladą twarzą. Na ten widok stanął jak wryty i długo wpatrywał się w twarz i postać dziewczyny. Im dłużej patrzył tem więcej z ust jego znikł wyraz gorczy i szyderstwa a okrywał je głęboki żal, w oczach zamiast rozpacz zajaśniał smutek cichy, a po nad tem, — po całej twarzy rozlała się wielka, bolesna litość.

Wincunia ze zdumieniem patrzyła na niego. Spodziewała się zapewne że przyjdzie ku niej rozżalony, pełen gorczy i wyrzutów, a ujrzała go tak samo łagodnym i rzewnie patrzącym na nią jak zwykle, a tylko bladym, tak bardzo bladym, iż zdawało się ani jednej kropli krwi w twarzy jego nie było.

Nie spuszczaając z niej wzroku, przystąpił do niej i wziął ją za rękę: poczuła wtedy że mimo dnia upalnego, ręce jego jak lód były zimne.

— Panno Wincento, ożwał się głosem znizonym ale spokojnym, czy ciotka pani prawdę mi powiedziała, że.....

Usta mu zadrżały, zasunął rękę za kłapę surduta i przycisnął ją piersi.

— Że mię pani nie kochasz, dokończył mocując się z drżeniem głosu.

— Panie Bolesławie, z cicha rzekła Wincunia, ja kocham pana jak brata, jak przyjaciela...

— A jak narzeczonego, jak kochanka kochasz pani tamtego, wyrzekł Bolesław mocując się z boleścią, aby nie wybuchnęła na zewnątrz.

— Tak, szepnęła Wincunia.

Bolesław wypuścił jej rękę ze swęj dłoni, pochylił głowę, w oczach jego błysnął znówu poępnny wyraz, po ustach przebiegło szyderstwo i na całej twarzy odbiła się walka światła i cieniów, które w głębi jego piersi musiały walczyć z sobą. Krótco to jednak trwało: podniósł czoło bledsze jeszcze niż było wprzód — wziął obie ręce Wincuni i patrząc głęboko w jej oczy, rzekł z dziwną słodyczą i uroczystością w głosie:

— Nigdy pragnienie własnego szczęścia nie miało pierwszeństwa w myślach mych i nadziejach, nad pragnieniem szczęścia dla ciebie. Kochałem cię nie tylko dla tego że byłbyś sam szczęśliwy posiadając cię, ale i dla tego że zdawało mi się, iż ze mną spędzone twoje życie będzie pogodne i szczęśliwe.... Powinnaś była wiedzieć o tem... pojąć mię, boć otwierałem przed tobą całą duszę moją... dla czegoż nie miałaś ufności we mnie... dla czego nie powiedziałaś mi od razu, że serce twoje biegnie w inną stronę? Czemu walczyłaś, cierpiałaś — milcząc przedemną? Byłbym już wprzódzi ustąpił z drogi twojej... bez skargi, bez żadnego do ciebie żalu... a tylko możeby rada moja, przyjaźń, doświadczenie zdołały ci otworzyć oczy na niejedną rzecz której nie widzisz... Może przed wiekniestem rozstaniem, zdołałbym uchronić cię od wielu bólów w tej długiej przyszłości, w której obcy mi już sobie będziemy....

Zatrzymał się — zdawało się że był bardzo zmęczony mówieniem i że na dalsze sił mu i głosu zabrakło. Uczynił jednak szybkie wysilenie i rzekł jeszcze:

— Wincuniu, daruj mi pytanie jakie ci uczynię, może nie delikatnem je znajdziesz, aleć przecie jam twój przyjaciel od lat dawnych, a chwila to dla mnie tak uroczysta i wielka, że z pamięci mi schodzą formy i zwyczaje... Powiedz mi czyś dobrze poznała człowieka, któremu powierzasz swą przyszłość? Czy pewną jesteś że będziesz z nim zupełnie szczęśliwą?

Najwyższe zdumienie odmalowało się na twarzy Wincuni. Jakto? ten człowiek odrzucony przez nią tak nagle, ten człowiek tak głęboko przez nią w serce zraniony, niema dla niej ani jednego wyrzutu, ani jednej skargi, a zamiast tego myśla swą zatopioną w bólu, troszczy się jeszcze o jej szczęście, o niem mówi, o nie pyta? Przypomniała sobie słowa ciotki: „to brylantowe serce!“ i głębokie przywiązanie, rzewna, wdzięczności pełna cześć, zdjęły ją dla tego, z kim rozstawiała się na zawsze. Sama nie wiedząc co czyni, obie ręce położyła na jego ramionach jak dawniej bywało i patrzyła mu w twarz pełnemi łez oczami:

— Jakiś ty dobry, jakiś ty zacny! wyszeptaly jej usta.

Błyskawiczny promień radości oświecił zbladłą twarz Bolesława.

— Wincuniu, jedyna moja! zawołał i zapominając o wszystkim porwał ją w objęcie i przycisnął do piersi. Ale trwało to kilka zaledwie sekund; ramiona jego rozpadły się, na twarz wystąpił wyraz powrotu do strasznej rzeczywistości.

— Panno Wincento, rzekł po chwili milczenia, wejdź w samą siebie i odpowiedz na moje pytanie. Pytam cię jako przyjaciela drżąc o przyszłość twoją: czy znasz dobrze, gruntownie, czy znasz duszę człowieka z którym chcesz się połączyć? Czy nie łudzą cię pozory? Czy uczucie jakie cię ku niemu wiedzie jest prawdziwe i trwałe, czyś dobrze zbadała samą siebie?

Wincunia długo milczała pod wpływem zmieszanych uczuć i myśli, potem wyrzekła zwolna i stanowczo.

— Kocham go!

Drżenie przebiegło po całym ciele Bolesława.

— Kochasz go pani, rzekł znizonym głosem, tak, to słowo wiele mówi! Czy wszystko? nie zawsze... ale nie pora dla mnie i nie miejsce tu moje, abym pani dłużej robił przedstawienia i pytania zadawał. Żegnam panią, przestaniemy widywać się ale ja nie przestanę być twoim przyjacielem... nigdy... Niech

Bóg cię strzeże i da ci taką przyszłość o jakiej ja sniłem z tobą i dla ciebie...

To rzekłszy wypuścił rękę Wincuni, którą trzymał w swej dłoni i powoli skierował się ku drzwiom. Wincunia patrzyła na niego z takim rozrzwinięciem, że aż graniczyło to z boleścią. Gdy ujął za klamkę drzwi wyciągnęła ręce i zawołała z żalem:

— Bolesławie!

Zwrócił ku niej twarz ale wykrzyk młodej dziewczyny nie sprowadził na niego najmniejszego błysku nadziei lub radości. Wszystkie siły jego moralne wyczerpały się w niezmierną walce, którą musiał staczać z sobą, rozmawiając z Wincunią, popatrzył na nią jeszcze przez chwilę i wyszedł.

Wincunia upadła na najbliższe stojące krzesło i w głos zapłakała.

Bolesław szedł ścieżką przez gaj do Topolina wiodącą, tą samą ścieżką którą przebywał tyle razy z myślą pogodną i sercem pełnem nadziei. Dobrze wyrzekła p. Niemeńska: „coż jest pewnego na tym świecie.“ Nad głową Bolesława ptaki świergotały na wysięgi, roje motyli zrywały się z leśnej gęstwiny ku słońcu. kawałki błękitnych obłoków ciekawie zaglądały w głąb gaju, wszystko było piękne, kwieciste, śpiewające, słoneczne jak przed tygodniem, miesiącem, rokiem, kilku laty i tylko w sercu człowieka zmieniło się, burze w nim grały szalone, obalające wszystko co na samej głębi serca zakorzeniło się i rozrosło — zrywając struny, które dotąd śpiewały pieśni miłości, zdmuchując puchy nadziei, a na ich miejsce rozścielając lodową oponę zawodu, zwątpień, gorzkości, bezbronnych żalów. Trudnoby odgadnąć o czym myślał Bolesław idąc przez gaj i czy nawet myślał o czemkolwiek, bo oczy jego i twarz powlekały się, coraz bardziej wyrazem martwej bierności, w którą na czas jakiś zapada człowiek dotknięty niespodzianem ciosem. Wyglądał jak ktoś uderzony w głowę nagle i ogłuszony uderzeniem. Szedł powoli z głową zwieszoną na piersi, a stopy jego z taką trudnością odrywały się od ziemi, jakby do każdej z nich przywiązana była ciężka kula żelazna. Tak wszedł na ganek swego domu nie spostrzegł Krzysztofa, który wyszedł na jego spotkanie, drzwi od ganku i sieni zostawił idąc na oścież otwarte, jakby mu brakowało sił do ich zamknięcia, i wszedłszy dopiero do swego pokoju zamknął drzwi za sobą. Po chwili, zdziwiony nie zwykłym wyrazem twarzy swego pana, Krzysztof widział jak nagle spuściły się sztory w obu oknach sypialni Bolesława. Okna te wychodziły na północ, słońce więc nie wnikało przez nie, ale musiał go razić sam blask dzienny.

Mięło kilka godzin, cisza zupełna panowała w domu, pora obiadu minęła dawno. Stara kucharka dreptała niecierpliwie po kuchni, gderząc na Krzysztofa że obiadu nie podaje panu, a u niej wszystko przestoi się i zepsuje. Krzysztof kręcił siwego wąsa i mruczał ze zdziwieniem.

— Co się jemu stało?

Podszedł do drzwi sypialni i posłuchał. Cicho tam było zupełnie.

— Spi czy co? szepnął i wzruszył ramionami, bo bardzo się zadziwił. Jako żywo nikt nie widział, aby Bolesław kładł się spać we dnie. Krzysztof zaczął chodzić po przyległym pokoju, stukać i przesuwając z hałasem sprzęty. Nic nie pomagało. Pokręcił wąsa z niecierpliwością i zaczął chodzić pod oknami. Szторы spuszczone nie pozwalały dojrzeć co się działo w pokoju. Chodzenie i chrząkanie Krzysztofa nie pomagało.

— Jakies лихо w tem jest! szepnął stary sługa, może zachorował?

Przestrach odmalował się na twarzy pocziwego i znowu podszedł do drzwi sypialni. Położył rękę na klamce ale zawahał się.

— Może czem tak bardzo zajęty? może to sekret jaki? jak wejść? przeszkodzę i podpatrzę to będzie nie pięknie!

Schylił się więc do dziurki od klucza i przyłożywszy do niej usta rzekł dość głośno.

— Proszę pana do stołu.

Nie było odpowiedzi, cicho i cicho. Krzysztof donośniej jeszcze powtórzył wezwanie na obiad, ale i tym razem żaden odgłos nie odpowiedział mu z głębi zamkniętego pokoju. Pociągnął wąs tak silnie że aż mu parę siwych włosów w palcach zostało, — odszedł parę kroków i znowu wrócił do drzwi. Spojrzał przez otwarte okno, słońce miało się już ku zachodowi.

Staremu na płacz się zbierało, sam nie wiedział co mu wypadło uczynić.

Nagle pod gankiem zaturkotały koła i do pokoju wszedł p. Andrzej. Krzysztof rzucił się ku niemu.

— A chwala Bogu że pan przyjechałeś! u nas jakaś bieda!

Czoło p. Andrzeja więcej niż zwykle było sfałdowane, w oczach jego malowało się zmartwienie.

— Gdzie twój pan, Krzysztofie? spytał półgłosem z wyraźnym niepokojem.

— Przyszedł z Niemeńki około południa, zamknął się w swoim pokoju, spuścił sztory w oknach i ani się odzywa choć stukałem i prosiłem na obiad. Czy tylko nie chory?

Silniejsza jeszcze obawa ukazała się na twarzy p. Andrzeja. Postąpił żywo i nagle otworzył drzwi sypialni Bolesława. Spojrzał i zbladł trochę, zwrócił się do Krzysztofa, rzekł doń cicho aby odszedł, sam zaś postąpił naprzód. W głębi, pokoju napełnionego pół zmrokiem, stał Bolesław plecami oparty o ścianę profilem zwrócony do drzwi przez które wchodził p. Andrzej. W rękę trzymał pistolet z lufą podniesioną w górę. Otwór broni zdawał się patrzeć na niego czarnem, przepaścistym okiem, a on zatapiał w nim wzrok powleczonej mętnym wyrazem wpół nieprzytomnej rozpacz.

Nie słyszał otwarcia się drzwi i kroków wchodzącego.

P. Andrzej położył rękę na jego ramieniu. Bolesław nie podniósł głowy, zdawało się że nie mógł oderwać wzroku od tego przepaścistego oka zabójczej broni, które w samą twarz mu patrzyło.

— Co to robisz? ozwał się p. Andrzej głosem, który drżał trochę.

Bolesław nie odpowiedział jeszcze i nie odwrócił oczu od lufy pistoletu.

— Co to robisz? powtórzył p. Andrzej pewniejszym i surowym głosem; kogo to chcesz zabić tą bronią?

Usta Bolesława zadrżały.

— Naprzód jego — potem siebie, rzekł z wolna nie zmieniając postawy ni kierunku spojrzenia.

P. Andrzej stał się tak samo prawie błądy jak Bolesław. Silnie oparł dłoń na jego ramieniu i wyrzekł uroczyście a surowo:

— Bolesławie, a sumienie twoje?

Bolesław zadrżał i pierwszy raz podniósł spojrzenie powleczone mgłą nieprzytomnego bólu.

— Co? wyrzekł z cicha, co mówiłeś?

— Przypomniałem ci sumienie, jeszcze surowiej rzekł p. Andrzej.

Bolesław patrzył na niego kilka sekund, mgła we wzroku jego rozstępowała się i przedzierała się przez nie z trudnością myśl przytomna.

— Sumienie, powtórzył z wolna, sumienie! ależ ja nie chcę aby ona była nieszczęśliwą... niech lepiej on nie żyje...

— Kto ci dał prawo wydawać wyrok śmierci na bliźniego? spytał p. Andrzej, surowy i przenikliwy wzrok topiąc w jego twarzy.

Milczenie trwało kilka sekund, Bolesław opuścił rękę broni trzymającą.

— Ale własnem życiem mam prawo rozrządzić, ozwał się i silnie zacisnął palce około rękojeści pistoletu.

— Jesteś pewny że nic już użytecznego nie

zdziałasz na świecie? Możesz że przewidzieć że ta kobieta przez którą cierpisz, nigdy już tej przyjaznej ręki potrzebować nie będzie? Czy zadanie życia kończy się tam, gdzie kończy się szczęście? pytał p. Andrzej.

Bolesław spuścił oczy pod surowem jego wejrzeniem.

— Czy zadanie życia kończy się tam gdzie się kończy szczęście? powtórzył i przesunął rękę po czole jakby chcąc zebrać rozpierzchłe myśli.

— Rzuć to! ozwał się raz jeszcze p. Andrzej wskazując pistolet.

Była chwila milczenia a potem dał się słyszeć stuk wypadającej z ręki Bolesława broni.

P. Andrzej wyciągnął do niego dłoń otwartą, Bolesław przyjął ją, uściśnął i w milczeniu upadł na najbliższe stojące krzesło.

— Wiem o wszystkim co cię spotkało, rzekł pan Andrzej, przyjechałem dziś do Adampola i opowiedziano mi o tem co zaszło w czasie mej nieobecności. Wiedziałem że będziesz cierpieć i przybyłem aby pomódz ci nieść ciężar boleści.

— Zdaje mi się że umrę, rzekł Bolesław i opuścił czoło na dłoń.

P. Andrzej położył rękę na jego pochylonej głowie i rzekł z powagą.

— Nie umrzesz. Tacy ludzie jak ty nie mogą i nie powinni umierać z miłości dla kobiety, ani z żalu po niej.

Mówiąc to podniósł sztorę i otworzył okno, potok światła i powietrza wpłynął do pokoju.

Milczeli kilka minut i patrzeli na siebie, potem Bolesław wyciągnął rękę do p. Andrzeja i rzekł głosem pełnym wdzięczności.

— Zbawiłeś mię!

XIII.

C I C H Y Ż A L.

Pan Andrzej na kilka tygodni został u Bolesława. W pierwszych dniach nie spuszczał z niego uważnych oczu, zdawało się że był nawskroś przejęty obawą, aby człowiek w którym tyle dobrego widział nie ugiął się i nie złamał pod spadłą nań boleścią i położył sobie za zadanie podtrzymać, wzmocnić w nim siły moralne w czasie najboleśniejszej walki, jaką staczać z sobą musiało to serce tak głęboko zranione i zawiedzione.

— Jest to chwila przesilenia w życiu twem, mówił do Bolesława, możesz z niej wyjść na zawsze rozbolełym, osłabłym i upadłym na duchu, albo olbrzymem męstwa i panowania nad sobą. Wybieraj!

Koniec lata obłócił się chmurami. Sierpień był chłodny, dżdżysty i posępny, zeschnięte liście opadały z drzew i albo żółtym kobiercem słały się do stóp gaju, albo gnane wiatrem rozprzasyły się po polach niby symbole ludzkich nadziei i radości, ręką losu niszczonych i rozproszonych.

Pewnego chmurnego ranka siedzieli obydwa u okna, Bolesław zamyślonym wzrokiem ścigał szare kłęby dymu, które wilgocią parte z nad dachu, włożyły się po ziemi w fantastycznych kształtach i rozpościerały w powietrzu mglistą oponę. Pan Andrzej patrzył na niego badawczo i uważnie, a po chwili położył rękę na jego ramieniu i rzekł.

— Rad jestem z ciebie Bolesławie, spokojnie cierpisz to znak że cierpienie nie złamie twych sił moralnych.

— Alboż może i powinno być inaczej? odrzekł Bolesław,

— Bywa jednak inaczej, rzekł p. Andrzej, a bywa z ludźmi, którzy widnokrąg swój biorą za koniec świata, nie pojmują, nie mają dość mocy serca i umysłu aby pojąć, że osobiste bóle i szczęście to wyjątkowe, przelotne chwile w życiu człowieka, a całe życie jest nieprzerwanym ciągiem prac i powinności, którego ani radości ani cierpienia, przerywać nie powinny. Ciasno, ciasno ci ludzie patrzą na ten świat bardzo szeroki, nie widzą, nie kochają i nie czeją nie oprócz siebie: gdy więc im serce zaboli krzyczą: świat się wali i padają bez siły, w konwulsjach, które byłyby śmiesznymi gdyby nie wzbudzały litości.

Bolesław milczał ale smutnymi swymi i rozumnymi oczami uważnie patrzył w twarz mówiącego.

— Wewnętrzne uczucie każdego człowieka warstwami układają się w sercu jego, mówił dalej p. Andrzej. Jedne z tych warstw są wielkie i nieśmiertelne jako duch ludzki, inne ruchome utworzone przez naleciałości życia. Zamiłowanie w nauce, pracy, działaniu jakimkolwiek, litość nad cierpieniami biednych i pragnienie przyniesienia im pożytku: oto są warstwy uczucia trwałe, nigdy nie zdradzające, które jak tarcza nieprzenikniona odpychają od piersi człowieka rozpacz, zwątpienia, złamania się duchowe. Miłości osobiste, pragnienie rozkoszy życia, przywiązanie do jednostek to warstwy uczuć niższe, ruchome, które wprawdzie mogą w danym razie zamienić się w opokę o tryskających ożywych źródłach, ale które najczęściej rozpadają się pod ciosami losu, rozwiewają wichrami przeciwności, ulegają zmianom mocą samej nawet ruchomej natury ludzkiej. Nie na nieb więc budować gmach życia! ale na tamtych na wielkich. Jeśli ostoja się, tem lepiej, jeśli rozpadną się w zgłuszcza to już nie padać razem z nimi, ale iść dalej po tamtym gruncie utworzonym z dyamentów wielkich miłości i pojęć, — ręka w rękę z cierpieniem, ale i z okiem utkwionem dalej, dalej niż ciasny, najbliższy, osobisty widnokrąg.

Bolesław słuchał i nie nie mówił, ale znać było że całą duszą wsiąkał w siebie, słowa pana Andrzeja. Na bladej twarzy jego rozlewała się powaga skupionej myśli, w oczach osiadł smutek spokojny, taki który nie rozrywa piersi ludzkiej konwulsjami rozpacz, nie rozplywa się w łzach i skargach, ale osiada w duszy jak dno dyamentowe, mające służyć piedestałem wielkich myśli i energicznych czynów.

I płynęły w Topolinie dni spokojne, poważne, uroczyste niemal. Prace rolnicze nie ustawały w nim ani na chwilę, cichy i porządny dworek pogodnie wyglądał nawet z pośród mgły domowej. Bolesław nie ustawał pracować, uważano tylko że mówił jak tylko mógł najmięcej, dźwięk jego głosu stał się niższym o jedną nutę i między brwiami zaczynała rysować się zmarszczka, której wprzód nie było. W mgliste i chłodne wieczory siadywali obaj z Andrzejem przy kominkowym ogniu i rozmawiali z sobą półgłosem długo, bo aż za północ niekiedy.

Tchnienie rzewnej poezji i poważnych myśli rozlewało się wkoło tych dwóch ludzi, z których jeden przeszedł już ciężkie próby życia, drugi przebywał dopiero ciemne wrota cierpienia, mające go wprowadzić w światłą krainę miłości i czynu. Tchnienie to owiewało i przenikało na wskroś Bolesława, w piersi jego nad krwawą warstwą świeżego bólu, rozkładała się i wznosiła coraz szerzej warstwa tych miłości i pragnień o których mówił mu p. Andrzej.

— I czemuże są bóle człowieka w obec ogromu boleści dziejowych? rzekł raz Bolesław zamykając książkę i wzrokiem zamyślnym patrzył w przestrzeń. Stopniowo oczy jego zaczynały przybierać tę samą szczególną cechę jaką posiadał wzrok p. Andrzeja. Gdy zamyślał się spojrzenie jego biegło w dal, zdawało się przebiegać ściany domu, mijając otaczające pola i patrzyć gdzieś daleko, daleko w przestrzeń jakąś, która odkrywała się przed jego duchem smutna a piękna. O czym myślał, co czuł Bolesław gdy tak patrzył? Odgadnięcie i zrozumienie ten tylko, czyje oczy tak samo patrzeć umieją...

Był spokojny, zupełnie spokojny na zewnątrz. Cichy, serdeczny żal który przeniknął go na wskroś odkał rozstał się z głęboko ukochaną kobietą, ob-

jawiał się niekiedy wielką bladocią twarzy, zadziwieniem ust, zmarszczką między brwiami wyciśniętą tłumionym bólem, ale nigdy jękiem lub skargą.

Raz tylko coś niby skarga wyszła z ust jego. Siedział przed kominkiem zamyślny a p. Andrzej przy świetle lampy czytał list otrzymany przed chwilą. Skończył czytanie i rzekł.

— Muszę wracać do domu, synowie mię wzywają. Bolesław podniósł głowę.

— Synowie? powtórzył, a prawda! masz synów! właśnie w tej chwili myślałem że ja ich nigdy mieć nie będę.

Powiedział to spokojnie, ale sama spokojność ta była tak smutną że p. Andrzejowi łza w oku stanęła.

— Niech czyny twe będą twymi synami, odpowiedział po chwili.

Kiedy p. Andrzej opuszczał Topoliu. Bolesław rzekł do niego.

— Odegrałeś w mem życiu rolę sumienia, podałeś mi rękę gdy stałem nad przepaścią i zaciągnąłem względem ciebie wieczny dług wdzięczności.

Pan Andrzej długo nań patrzył z rozrzwinnieniem i odpowiedział.

— Spłacisz dług ten z lichwą jeśli zostaniesz na zawsze człowiekiem... takim jakich nam trzeba!

Pożegnali się długim, milczącym uściskiem ręki i słowem: do zobaczenia!

Gdy w oddaleniu umilkł turkot bryczki uwożąc p. Andrzeja, Bolesław usiadł w cichym pokoju swoim i zadumał się tęskno... smutnie.

Samotnym pozostał i takim miał już pozostać na zawsze, wiejska ustroń jego zmieniła się w pustelnię do której nigdy nie miały zawitać uśmiechy szczęścia ni gwary wesela. Spojrzał na swoje książki, które rozstawione na półkach zdawały się patrzeć na niego w poważnem milczeniu i pomyślał, że miały mu być one jedynymi towarzyszami życia, z których czerpać będzie odtąd pociechę w tęsknotach serca i wsparcie na żywot pracy. Rzucił okiem przez okno i zobaczył ciche blade obłoki a u skraju widokowego iskrzał złotem i purpurą szeroki pas zachodzącego słońca. Puścił wzrok po wysokości sklepienia i myślał, że przyszłość jego cała będzie jako te obłoki bez burz i mgły, ale bez słońca też i bez błękitu, a dopiero u końca jej na wzór świetnego dnia zachodu, przyjdzie chwila ozłocona spokojem sumienia i rwaniem się ducha ku lepszym światom, chwila śmierci. A jako ta fioletowa obłona chmur zapada za lasy ciemne, tak duch jego zsunie się z ziemskiej powierzchni kędyś — kędyś w nieznane przestrzenie wieczności, gdzie pracownikowi wolno będzie wytchnąć po trudach, a przeniesione cierpienia otrzymają nagrodny wieniec spokoju...

Twarde życie pracy i obowiązków i skonanie uświatnione spokojnem w przeszłość spojrzeniem oto wszystko co mu przeznaczonem na tej ziemi było. Gdzież są jego o ziemskiem szczęściu marzenia? Rozwiała się jako mgła. Gdzież ta uroczą postać kobiety, o którą oparł on tyle gorących a szlachetnych nadziei? W objęciu innego. Niższą warstwę jego wewnętrznych uczuć zburzył i rozproszyl los, powstała mu wyższa, szeroka, wielkich miłości i pojęć, jakie nosił w piersi. Z nią więc i dla niej tylko żyć mu odtąd przyjdzie, ale gdy nadejdzie chwila skonania, komuż ją w spadku zostawi? Kto po nim przejmie miłość jego dla kraju i ludzi, i wytrwałość w pracy w imię ich prowadzoną? Nikt. Żyć on będzie samotnym i umrze bezdzietnym. Marzenia jego dawne, drogie marzenia o ojcowstwie stanęły przed nim w całym blasku, w oczach zadziwały ognie żalości, ale wnet w sercu ozwały się słowa p. Andrzeja — niech czyny twe będą twymi synami!

A jednak, myślał, tamten, wybrany przez nią, młody a już zepsuty, kochający tylko siebie, jak szych błyszczący zewnętrzna tylko pozłotą, posiadał tę kobietę którą on tak bardzo kochał, świat przyklasnął mu pewnie zowiąc go zręcznym i mądrym i dni jego radośnie popłyną wśród rodzinnego ciepła i gorących rozkoszy życia! Dla czego tak było? Czemu los lepszą dolę rzucił temu który jej nie wart ani ją uszanować potrafi, a wydziedziczył tego, który gotował się do niej z taką siłą serdeczną z takim podniesieniem ducha? I zapytał Bo-

lesław słowami Hioba: „Czemu grzeszny zemrze w swęj obfitości, nie znając trosk; prawy umrze smutny i oba zaniosą jednako do ciemnego grobu?“ Zwiesił głowę i umysł jego poczał błakać się po rozdrożu zwątpień graniczących z rozpaczą: w uchu brzmiało nieustannie drżące bólem bez granic pytanie Hiobowe: Kto mi powróci dawne moje czasy?

Nagle od krwawego pasa zachodu strzeliły uwolnione z pod chmur promienie słoneczne, miljonem iskier zapęłniły powietrze i potok ognistego światła rzuciły w zmęczone cierpieniem oczy Bolesława. W tej chwili zdało mu się że ma objawienie, że przysłoniła świetną tarczą słońca — owinięta szatą z płomieni, stanęła na krańcu widokowego niepojęta - niezmierzona - tajemnicza postać Jechowy, i z głębi chmur purpurowych grzmiała ku niemu słowami wyrzeczonemi niegdyś do sarkającego na dolę swą Hioba: „kto śmie moje przesądzać wyroki? Kto im słowy uwłacza pustemi? Byłżeś wtedy gdym stawiał żrąb ziemi? Wiesz kto mierzył, jak ma być szeroki? Wiesz kto trzymał wtedy sznur mierniczy? Jak postawił węgiel budowniczy? Byłżeś w kraju gdzie gaśnie blask słońca? Obejmałżeś ty świata kończyuy? Wiedziałżeś kiedy przyjdiesz w gości na tę ziemię? Kiedyć weźmie blada śmierć? Jaką drogą piorun mój uderza? Kto wyroki me wstrząsać się waży?“

Bolesław zakrył oczy dłonią i w pokorze uchylił głowę przed niezbadanymi wyrokami przeznaczeń. Tak, myślał, któż zbada wyroki światem rządzące i ludźmi? Ktoż mi powie dla czego odebrana mi została cząstka ziemskiego szczęścia a oddana innemu? Wszak losy ludzkie płynąć muszą na ziemi w tak logicznie związanym łańcuchu, jak płyną w przestrzeni światów miliony. Wszystko co się dzieje musi mieć przyczynę swoją i cel: nie się bez nich nie dzieje, nie ślepym trafem nie jest. Może grzeszny otrzymuje w udziale szczęście dla tego, aby go ono podniosło i uleczyło z grzechu, a sprawiedliwemu dostaje się w udział ciepienie aby wzmógł się i rozszerzył duch jego? Jakie posiadam prawo żądania, abym ja właśnie był szczęśliwym a nie kto inny? Alboż wiem że szczęście moje jest koniecznem ogniwem do utworzenia tego łańcucha, który się losami społecznymi nazywa? Nie jestże przeciwnie? Nie byłże koniecznem i zbawiennem, abym cierpiał a kto inny cieszył się? Gorycz i skargi na los nie są pychą i zarozumiałością człowieka który myśli, że świat dla niego nie on dla świata istnieje? Starac się osiągnąć szczęście, szukać go, zdobywać, każdy ma prawo ale gdy ono umknie i zniknie z oczów, jestże rozumnem i sumiennem kogokolwiek lub cokolwiek oto oskarżać?

Długo w ten sposób Bolesław pytał myśli swój i sumienia, a gdy podniósł głowę zmrok już napęłniał pokój, za oknem cicho szumił gaj pochylany wiatrem jesiennym, po bladym sklepieniu wlewały się ciemne obłoki, łamiąc się i rozdzierając w tysiące fantastycznych kształtów a w dali — nad pasem odległych lasów, tam kędy przed godziną Bolesław w złotym zachodzie słońca widział symbol pogodnej śmierci sprawiedliwego, jaśniała jedna wielka gwiazda.

Szmaty chmur ciemnych płynęły do gwiazdy tej niby okręty z rozwiniętymi żaglami ku światłej latarni port zwiastującej: oczom Bolesława poszarpane chmury wydały się mnóstwem serc rozdartych i pokaleczonych w żegludze życia, — a na złotem licu gwiazdy wyczytał on wyraz: Wieczność.

Z bladej i zmęczonej twarzy jego zniknął wszelki ślad goryczy i zwątpienia a rzeźna jego dusza spo-częła na twardem ale podnoszącem wezgiłowiu mężnej rezygnacji.

Koniec części pierwszej.

Lamartine.

(Dokończenie.)

Rozpoczęto żeglugę 20 maja 1832 roku. Morze było spokojne, niebo jasne, pomyślny wiatr zachodni popychał statek ku stronie Jerozolimy. *Alcest*, tak się zwał okręt Lamartina, urządzony był jak można najwygodniej. Służba okrętowa składała się z szesnastu ludzi. Z trzech kajut największa, obejmująca bibliotekę z pięciu set wyborowych tomów złożoną, przeznaczoną była dla pani Lamartine i Julji. Drugą zajmowali dwaj przyjaciele, towarzysze podróży, i doktor la Royere. W trzeciej, głównym sprzętem był mały stół, na którym Lamartine pisał swoją *Podróż na Wschód*, dzieło niezrównanej wartości.

Pani Lamartine czuwała z prawdziwie macierzyńską troskliwością nad słabym dzieckiem, wyglądając niecierpliwie ręką ujrzy zielone brzegi Syrii.

Okręt opływał urocze wyspy Greckie. Uzbrowiono go w cztery działa, przeciwko piratom Archipelagu. Na widok Sunium gdzie Platon przemawiał o nieśmiertelności duszy, Lamartine wystąpił na pokład, przywołał Julję, aby i ona wzięła udział w słodkim wrazeniu. Julja nie przybiegła na głos ojca. Dla czego? znajdziemy odpowiedź w dzienniku podróży Lamartina.

12 Sierpnia 1832. Wielka trwoga o zdrowie naszej córki. Stoimy na kotwicy. Ze smutkiem w duszy odwiedziłem świątynię Jowisza Olimpijskiego.

23 Sierpnia (w Cykladach). Przepędzam noc przy Julji, niekiedy przechadzam się po pokładzie. Noc bolesna! O gdyby jaki duch tajemniczy, przeniósł Julję moją pod spokojny cień pagórków Saint-Point. Wicher dnie, spienione bałwany biją w statek, miotając nim z szaloną siłą.

Wkrótce morze uspokoiło się, okręt dopłynął do Beyruth 6 Września z rana. Na lądzie Julja czuła się zdrowszą.

Rodzina zajęła wygodny dom, w którym miała przebyć zimę. Julja z matką pomalowały al fresco ściany salonu. Lamartine tymczasem zwiadał góry w bliskości Beyruth, opiewane pieśnią Chateaubrianda.

Po kilku dniach powrócił, a widząc Julję nie równie zdrowszą, przedsięwziął dalszą podróż. Zwiadał wtedy Karmel, Tabor, Gethsemani, Bethleem, Cedron, dolinę Jozefata, źródła Siloe, Nazareth, Jerozolime. W kaplicy Świętego Grobu, wreszcie dwóch mszy na intencję żony i Julji. Ale przez cały miesiąc nie odebrał od nich ani słowa wiadomości. Arabi wtedy bowiem krążyli po pustyni, i przejmowali przesyłki pocztowe. Niespokojny o córkę wrócił do Beyruth w pierwszych dniach Listopada. Zastał ją dosyć zdrową: w kilka dni potem, ukazał jej piękne zwałiska Balbeku: „Julja mówi on, stąpała zwolna na małym koniku, którego przyprowadziłem jej z brzegów morza martwego. Służący Arab prowadził konia za trendzle. Byliśmy sami. Pomimo listopada słońce przyświecało jasno, ziemię pokrywała świeża jeszcze murawa. Dziewczynka w prawdziwym była upojeniu. Co chwila zadawała mi nowe pytania. Nigdy nie widziałem ją w takim zachwyceniu.”

Była to niestety, ostatnia jej uciecha. W kilka dni potem, Julja skonała w objęciach ojca i matki, w tym samym domu, którego ściany malowała z matką tak starannie. Umarła 5go Grudnia 1832 roku, w przesłannym poranku słonecznym. U wezłowania umierającej stał oprócz rodziców zakonnik z Bejruth. On to przycisnął krucyfiks do gasnących ust dziecka, a potem oddał go ojcu jako ostatnią pamiątkę i ostatnią nadzieję.

Nabalsamowano ciało Julji, obleczone ją w białą szatę. Długie jasne włosy spadały jej na szyję i ramiona. Zdało się jakby spała. Rodzice pragnęli widzieć ją po raz ostatni, poczem zabito trumnę i złożono tymczasowo pod sklepieniem kościoła.

Nieszczęśliwi przepędzili zimę we łzach i niewysłowionej boleści. Poeta opiewał jedynaczkę swoją, jak niegdyś nasz Kochanowski swoją Urszulkę, potracając łzami struny lutni.

Z wiosną osieroceni pielgrzymi puścili się morzem do kraju. Zwłoki Julji złożono na tym samym okręcie, który ją przywiózł w roku zeszłym do

Beyruth. Rodzice wsiedli na inny statek i wkrótce przybyli do Marsylii.

W końcu Maja zwłoki Julji sprowadzono do Saint Point. Wieśniacy w świątecznych szatach wyszli na spotkanie trumny, którą zasypali kwiatami. Złożono ją tam gdzie pragnęła spoczywać.

Ale czas już nam powrócić do poetycznych prac Lamartina. Jeszcze przed ową podróżą na wschód, wydał on drugi tom medytacji przyjęty z równym jak i pierwszy zapalem. W parę lat potem w r. 1829 ogłosił drukiem nowy zbiór p. t. Harmonje poetyczne i religijne. Zbiór ten otworzył mu drzwi Akademii Francuskiej.

Po powrocie ze wschodu napisał z kolei poemat *Upadek Anioła*, zbiór pod tytułem: *Skupienie poetyczne*, (*Recueillement*) *Podróż na Wschód*, powieść poetyczną *Jocelyn*, począł nakonec przygotowywać znakomite dzieło prozą historję Żyrodystów.

W *Upadku Anioła*, krytycy spostrzegają upadek poety. W utworze tym są jednak przesłannicze usteżpy, godne najświetniejszych jego czasów. Poemat *Jocelyn* za to obudził powszechne podziwienie, i wymownie dowiódł że poeta dalekim był od upadku.

W roku 1848, przewrót społeczny we Francji wywołał Lamartina na szeroką widownię. Od lat kilku jako deputowany występował na trybunie, i znakomitą wymową przyciągał w koło siebie liczne stronnictwo. Dawne wyobrażenia legitymistyczne poety, ustąpiły nowym pojęciom, czego dowiódł w historii Żyrodystów. Po upadku Ludwika Filipa, wybrano go na członka Rządu tymczasowego, i powierzono mu ministerstwo Spraw Zagranicznych.

Zamierzaliśmy przedstawić Lamartina jako pisarza i poety, nie będziemy więc rozbierać jego życia politycznego, powiemy tylko, że jeśli w ciągu czteromiesięcznego urzędowania, Lamartine miał piękne chwile w których dobrze się zasłużył Francji, to z drugiej znów strony, podejmując na barki swoje zbyt wielki ciężar, ściągnął na siebie niechęć przeciwnych stronnictw, a imię jego utraciło na czas jakiś ów urok jakim było otoczone, ową aureolę chwały, którą śmierć miała znów roztoczyć nad czołem wielkiego poety.

Po dniach Czerwcowych Lamartine zdał władzę Jenerałowi Cavaignac, sam zaś usunął się zupełnie z widowni politycznej. Wówczas to skreślił prozą, poetyczne dziełko pod tytułem *Rafael*, uroczyste wspomnienia z lat dziecińczych. Następnie ogłosił *Historję Rewolucji z 1848 roku*. Na ostatnich stronicach czytamy takie wyznanie, które zacierają nie jedną winę: „Wielkie oddano posługi, i wiele popełniono błędów. Proszę Boga, rodaków i potomności o przebaczenie moich.”

Niebędziemy tu rozbierać politycznych win Lamartina, zwrócimy tylko uwagę na zarzucane mu tylokrotnie marnotrawstwo, które lubo ze szlachetnych pochodziło pobudek, zużyło jednak poetę w oczach ziomków, odbierając mu niepodległość.

Lamartine nie umiał odmówić nic ani drugim ani też samemu sobie. Matka nauczyła go cnoty miłosierdzia; żona nie tylko że nie powstrzymywała jego wrodzonej szczodrości, ale pomagała mu w niej czynnie oddając nie raz ubogiemu ostatnią sztukę złota.

Bogata fantazja poety, wiodła go też do nie słychanych wydatków. Sama podróż na wschód odprawiona osobnym okrętem, kosztowała do miljona.

Trudnoż tu jednak potępić ojca, że pragnął otoczyć wszelką wygodą, umierające dziecko swoje! Słowem Lamartine w każdej chwili wyrzucał pieniądze pełną garścią. Tym sposobem strwonił nie tylko szczyptę ojcowizny, ale i znakomite majątek otrzymane spadkiem po stryju, i niemniej znakomity posag żony — i ogromne summy jakie wydawcy płacili mu za dzieła. Przyszło wreszcie do tego że zmuszony był wyciągnąć rękę do Francji, gdy wierzyciele zajęli mu wszystko co posiadał — nawet ów zamek Milly gdzie się wychował pod skrzydłem dobrej matki, nawet Saint Point gdzie spoczywała ukochana Julja.

Przyjaciele poety zawiązali komitet ogłosili odezwę do narodu wołając „oalmy Lamartina!” Zrazu naród przyklasnął tej myśli wkrótce jednak nieprzyjazne dzienniki, powstały silnie przeciw temu, w sposób ubliżający poecie.

Zmuszony pracować dniem i nocą na opędzanie się wierzycielom, wydał z kolei wiele dzieł powiększając częśći prozą. Na układanie rymów, nie wystarczało czasu, bo wydawcy stali nad karkiem

wołając „przedzój! przedzój!” I nieszczęśliwy poeta, za pieniądze naprzód wybrane, otwierał na widok publiczny najskrytsze rany serca, aby krwią płynącą z tych ran niezabliźnionych jeszcze, zabawić czytelników i z nie jednych ust wywołać uśmiech politowania!

Czuł Lamartine upokorzenie własne, a jednak rzucał na pastwę publiczności *Zwierzenia* z lat młodych, w dwóch serjach — znane polskim czytelnikom z przekładu Kraszewskiego. Pisał przytem powieści: *Genowefę*, *Kamieniarza z Saint Point*, *Grazię*, w których osobistość jego główną odgrywa rolę. Utworzył też dramat z niedawnych wypadków w St. Domingo p. t. *Toussain Louverture*, (1850) napisał *Historję Restauracji* (1851) *Historję Konstytuancy* (1854) *Historję Turcji* (1855) *Rady dla ludu* (1856) a nakonec *Domowy kurs literatury* (1857).

Prenumerata ogłoszona na to ostatnie dzieło, miała zapłacić długi Lamartina, przyjaciele zajęli się gorliwie rozprzedając bilety; w krótkim czasie sprzedali ich do 30,000. Nienawiść podniosła wtedy głowę w nieprzyjaznych dziennikach, głoszą paszkwile i szydercze przymówki. Poeta milczał długo, wreszcie odpowiedział temi słowy.

„Część prasy francuskiej brzmi od niejakiego czasu, chorem złośliwych zarzutów przeciwko mojej skromnej publikacji, a szczególnie przeciwko osobie autora. Nie żalimy się na to. Wciagu dziesięciu lat, spełniliśmy do kropli czarę i nie czuliśmy w niej gorczy.”

Obok upokorzenia, miał jednak poeta słodkie chwile pociechy, widząc gorliwe usiłowania przyjaciół. Alfons Karr sam jeden zebrał w Lyonie pięćset podpisów, w przeciągu jednego tygodnia.

Lamartine podziękował wierszem temu zdolnemu pisarzowi, który z autora został ogrodnikiem.

Rozumny bez szyderstwa, wesoly bez jadu,
Walcząc z złem, w żarcie szukasz swobodnej podniety,
Na obliczu twych ofiar nie dojrzeć lez śladu,
Biezm z kwiatów splecionym chłoczysz głupich grzbiety.

Ogrodnikiem jak mówią zostałeś z pisarza,
Na targ z koszem twój osiół zdążył bez ustanku,
Dość poleałeś na papier płynu z kalamarza,
Dziś kotwicz zatknąłeś na grzędzie tymianku!
Mówią że Albionu córa złotowłosa,
Kwitnie pod twego słońca ożywym promieniem
Karmiąc się róż tych woni, które czysta rosa,
Co dnia pod czarodziejskiem rozwija twem technieniem,
Nie dziw że do tych kwiatów młody smak się kloni,
Twój rozum im dodaje słodyczy i woni!

Wszak żadne pracownika rzemiosło nie plami,
Król Abdolonym także handlował kwiatami,
Sprzedajmyż krople potu — póki duch nasz młody.
Ty kwiaty, ja spieniężam me winne jagody.
Szczęśliwy jeśli nektar pod naciśnięciem mojem,
Napelni mnogie beczki bursztynowym zdrojem,
I zapłacon sownie garścią pełną złota,
Zatraconej swobody otworzy mi wrota.

Obu na wyrobników losy nas skazały,
Ja w pracy trawie noce, ty pracuj w dzień biały,
Błogosławieństwo temu, komu daly nieba,
Zarobiony pocziwie spożywać kęs chleba!

Liczne podpisy zebrane przez przyjaciół nie wystarczały jednak na pokrycie liczniejszych jeszcze długów poety, nie powróciły mu tej zatraconej swobody której tak silnie pragnął. Stargany wiekiem i boleścią, pracował jednak wytrwale na swe utrzymanie, a praca konieczna była mu jedyną pociechą w cierpieniu. Coraz też nowe krzyże spadały na poetę i barki jego przyciskały do ziemi. Utracił naprzód, dwóch drogich sercu przyjaciół, którzy od młodości dotrwali przy nim wiernie. Później stracił ukochaną siostrę hrabinę de Cessiat. Nakoniec umarła kłiwa żona, towarzysza trudów i boleści. Lamartine pochował ją w tym samym grobie w Saint Point, gdzie leżały już zwłoki matki i ukochanej Julji, gdzie zachował miejsce, dla siebie. Przyjaciel jego słynny rzeźbiarz Adam Salomon, wykonał mistrzowski pomnik, i przyozdobił nim ów grobowiec.

Po śmierci żony, od r. 1863, Lamartine przebywał po większej części w zamku Montceau w bliskości Makon, czasami tylko przyjeżdżał do Paryża. Nieodstępną towarzyszką i opiekunką jego była ro-

dzona siostrzenica, Walentyna de Cessiat, kanoniczka, której Lamartine przekazał testamentem swoje nazwisko.

W roku 1866 izby za inicjatywą Cesarza Napoleona uchwały dla poety 500,000 franków. Ten dar Francji uchronił go od nędzy w ostatnich latach. Na rok przed śmiercią Lamartine przestał pisać. Smutny, milczący, skupiony w sobie, odwrócony od świata, po całych dniach przesiadywał w wielkim krześle, w ulubionym mu zamku Montceau. Na zapytanie odpowiadał tylko skinieniem głowy i łagodnym uśmiechem. Naprzeciw niego siedziała zwykle siostrzenica, baczną na każde poruszenie starca. Poeta mniemał że w tem głębokim skupieniu, odzyska dawne siły ducha. W Grudniu opuścił zamek: powrócił do Paryża, gdzie zamierzał pracować nad niewykończonym kursem *domowej literatury*.

Daremne złudzenie! siły ducha nie powracały lubo ciało nie dotknięte było żadną chorobą. Na parę tygodni przed śmiercią, rzekł on w gronie najbliższych przyjaciół.

„Wiem że umrę niezadługo. Żądam aby w Paryżu nie było po mnie żałobnego nabożeństwa. Obok serdecznych słów przyjaciół moich, zabrzmiąły by niewątpliwie gorzkie słowa tych, którzy lubią rozprawiać na grobach. Pragnę aby mnie cicho przewieziono do Saint Point, i złożono obok istot drogich sercu mojemu, w obecności prawdziwie mi życzliwych.“

W tydzień potem zachorował, a po kilku dniach cierpień, skonał na ręku siostrzenicy.

Spełniono wolę jego ostatnią, zwłoki przeniesiono z Passy gdzie umarł, do rodzinnego grobu w Saint Point.

Na wieść o skonie Lamartina dzienniki i przeglądy paryżskie zabrzmiły chórem żalu i uwielbienia. Pisma ilustrowane przedstawiały piękne jego oblicze, opromienione aureolą śmierci. Profesorowie z katedr powtarzali ze czcią jego imię, wyliczali prace i zasługi.

Na zakończenie przytoczymy kilka słów Wilhelma Guizot, profesora w kolegium francuzkiem.

„W chwili kiedy mówię grono przyjaciół odprowadza do grobu Lamartina. Ci którzy go widzieli na łożu śmierci opowiadają, że pod ciosem śmierci, rysy jego przybrały dawny spokój, dawny urok! Zgrzybiała starość, trudy, bólesci, wszystkoto uleciało jakby czarem. Dałby Bóg, aby i na imieniu jego tak samo jak na obliczu, nie pozostała żadna skaza w pamięci ludzkiej. Niechajże dziś po skonie chwala jego zapromienieje w całym blasku: niech w obec śmierci umilknie wszelka niechęć, abyśmy widzieli w nim tylko wielkiego poety, któremu tak wiele zawdzięczamy, abyśmy chcąc go sądzić, z głębokim skupieniem spojrzeli sami w siebie.“

Z wykończonych prac zostały po Lamartinie pamiętniki objęte w czterech tomach.

S. D.

OBRAZY

NA WYSTAWIE ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH

w Warszawie

Jeżeli kompozycje malarskie treści historycznej, wymagają niezwykłego talentu zasilanego fantazją i niemałą erudycją, obrazy religijne potrzebują jeszcze czegoś więcej, czegoś odrębnego, co choć z ziemi płynie nie z nią nie ma wspólnego. Talent, fantazja, erudycja choćby najpotężniejsze nie tu nie zrobiają bez namaszczenia ducha wiarą, jaka cechowała pierwsze chwile odrodzonej przez chrześcijaństwo ludzkości. Cudowna w swej naiwności, otoczona aureolą poświęcenia, wszystkie swe pojęcia, uczucia, umiała wlewać w plastyczne formy: Bóg widome objawiony był dla nich wzorem, później intuicja i pamięć wielkiego faktu zbawienia dającego ludzkości. Wieki następne zachowały wiarę, ale ją podniosły, uduchowily i postawiły na takiej wysokości, że wszelka choćby najmniejsza plastyczność stała się niepodobieństwem. Czego myśl pojąć nie umie, nie może także tego uwidoczniać, przepadły też arcydzieła pędzla, a zachowane z przeszłości, nowymi zastąpione już nigdy zapewne nie zostaną. Próbek jednak nie brakuje

dla malarskiego geniuszu za nadto to ponętny przedmiot, aby od czasu do czasu nie miał być podnoszony przez młode talenty, ożywione zapałem sztuki. Zachowane wzory rozpalając imaginację, pociągają swoją wielkością: młody artysta patrząc na nie, podziwia, uwielbia i otrzymane wrażenie biorąc za natchnienie, chwytając się palety pewny że mistrzom dorówna. Daremne to jednak usiłowania.

Na wystawie Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, obecnie znajduje się Chrystus Jendego i dwie Madonny z dzieciątkiem Jezus J. Strzałeckiego i Godeckiego. Nie wiadomo, czy to są kopie czy oryginały, bo artyści nie stanęli na wysokości swego zadania. Chrystus pana Jendego, to człowiek nie Bóg: Madonna p. Godeckiego to matka dziecięcia ale nie Chrystusa, choć dziecko trzyma krzyżyk na wierzchu globu ziemskiego jako symbol swego posłannictwa.

Madonna wreszcie p. Strzałeckiego to dziewczyna ale nie Matka Boża, Ta ostatnia jednak najlepsza. Dzieciństwo rozlana w oczach i całym wyrazie twarzy, pociąga a nawet ujmuję. Dzieciątko Jezus podobne do matki przemawia swoją przyswoją, a raczej pobłyskuje geniuszem, ale nie Boską swoją naturą. Słowem we wszystkich tych trzech pracach, nie bez pewnych zalet, brak prawdziwego natchnienia, brak w postaciach uwydatnienia myśli, co niegdyś słyszała męczenników a dziś jedynie krzepi i pociesza.

Obraz p. Góreckiego Tadeusza dużych rozmiarów, przedstawia młodą osobę umierającą biorącą komunję. Pomijając treść pracy nie bardzo ponętną, w głównej postaci leżącej na śmiertelnym łożu, myśl zlaną się z niebem przedstawioną jest z widocznym staraniem. Błądą twarz umierającej ożywia anielski zachwyt, oczy zdają się już widzieć rozkosze wybranych, ale twarz ta za pełna, psuje efekt o jaki zbyt troszczył się artysta.

Wyraz także twarzy otaczających osób nie zdaje się harmonizować z głównym założeniem. Majestat zbliżającej się śmierci oddający co ziemskie ziemi, co Boskie Bogu, przenika i przeraża zarazem. Boleść więc i trwoga powinny być jego wyrazem, tymczasem postać kobiety podtrzymującej głowę umierającej, spokojna ale bezmyślna, ułożenie zaśchołpca kościelnego z pewną niedbałością opartego o łożo, pomimo naiwności młodego wieku ciekawości, niewłaściwe niemal wstrętne. Przypuszczalne oswojenie z podobnym widokiem nie tłómaczy tego zarzutu, dla młodości wrażliwszej na wszystko, przestrasz byłby odpowiedniejszym. Powaga jednak kapłana starca, udzielającego duchowy posiłek na drogę wiecznego żywota, najlepiej schwyciona.

Pomiedzy historycznymi obrazami znajdują się dwa p. Dyleńskiego Michała Korybut Wiszniewiecki z podkomorzym Olszewskim — i Śmierć Jagiełły. Pierwszy byłby wcale dobrym, gdyby wnętrze komnaty więcej cokolwiek było wyrazistsze, nie tak zbyt ciemne, przyciemnione, i scena przedstawiona zrozumialsza lub przynajmniej ożywiona jakimś ruchem osób w niej umieszczonych. Tak jak są przedstawiają tylko dwa portrety, bardzo zapewne podobne, ale w obrazie mieszczącym dwie postacie wymagania są większe. Samo sportretowanie nie jest tu wystarczające; widz koniecznie domaga się czegoś innego, czego nie znajdując niezadowolnia się czułością, chociażby ta jak tutaj zasługiwała na wszelką pochwałę.

Drugi obraz Śmierć Jagiełły, tak pod względem kompozycji, rysunku, kolorytu i wykonania zaledwie na miano artystycznego utworu zasługuje i prawie obudza niewiarę, aby był utworem tej samej ręki co pierwszy. Osoby wszystkie ustawione jak w szopce lub teatrzyku dziecięnnym, sztywne, niesmaczne, ani w nich wyrazu, ani życia, choćby najmniejszego. Widać że obraz ten należy do najpierwszych prac zdolnego tego artysty, kiedy wyobraźnia pobudzona do działania nie miała jeszcze na swe usługi wszystkich tajemnic technicznego wykształcenia. Wielka też szkoda że wystawiony został na widok publiczny.

Pana Gersona obraz przedstawiający Dymitra z Goraja powstrzymującego królową Jadwigę od zamiaru opuszczenia zamku i królestwa, tylko kolorytem przypomina twórcę Łokietka i innych prac będących chlubą tego utalentowanego artysty Jadwiga uosobienie niewieściego wdzięku, niewinności i poświęcenia, w obrazie p. Gersona dziwnie jakoś wykrzywiona, jakby karłowata, cokolwiek nawet na śmieszność zakrawająca. Dymitr oparty o furtę zamkową, zda się więcej karcić swawolę jak przemawiać do królowej w imię jej królewskich obowiązków. Chwila zaś obrona przez artystę była zbyt ważną, zbyt obcho-

dzając losy pokrewnych społeczności, aby nie mogła dostarczyć wątku do poważniejszego prawdziwie dramatycznego obrobienia, użytego za treść pracy zadania.

Widoki z okolic Francji p. Gąsowskiego Artura jakkolwiek nie przedstawiają żadnej wybitnej miejscowości są jednak pracami objawiającymi talent, który pracą rozwijany ma przed sobą piękną przyszłość. Jeden z nich obrazuje moczarny wódz okolicy otoczony pasącym się bydłem, drugi wzgórzyste położenie ożywione stadkiem owiec pędzonych na pastwisko. Ten drugi znacznie lepszy, cieniowanie w nim lepiej przeprowadzone, światło umiejętniej traktowane, perspektywa dokładniejsza, koloryt prawdziwszy i więcej w nim naturalności jak w pierwszym.

Z widoków p. Brzozowskiego najlepszym zdaje się być Miasteczko Powidz nad jeziorem tegoż nazwiska. Zwierciadłana tafla wody oświetlona wśród lata słońcem, rozciąga się szeroko i długo a w niej nurza się ptastwo wodne żadne żeru i ochłody. W oddali jak za mgłą rysuje się miasteczko patrzące w ciszy na obszar wodny, tuż pod jęj mury dochodzący. Zarazem czujesz w powietrzu, widzisz go w delikatnej mgłę przysłaniającej dalsze przedmioty, co niemała jest zasługą artysty, umiającego rzecz nieujętą uzmysłować, niemal dotykającą uczynić. Inne widoki są już słabsze chociaż w każdym widnieje talent i tu i owdzie pobłyskuje niepospolitą mocą.

Pomiedzy obrazami poświęconymi wnętrzu kościelnemu, najpierwsze miejsce zajmuje kaplica Zygmunowska na Wawelu p. Gryglewskiego. Odwzorowana wiernie w najdrobniejszych szczegółach, koloryt ma tak naturalny że nagrobki i królewskie postacie zdają się z marmuru wykute, że zbroja w niektórych miejscach pobłyskująca na nich, jest rzeczywiście żelazna a nie pędzlem odwzorowana. Nic tu nie brakuje, nie nie pominięto; nawet ciszę poważną napełniającą zwykle kaplicę w naturze zda się widzieć unoszącą się po nad świętem miejscem pamiątek.

Równie pięknym jest drugi obraz p. Gryglewskiego przedstawiający wnętrze kościoła Sgo Idziego jednego z najstarszych świątyń krakowskiego grodu. Psuje go jedynie dziad czy żebrak siedzący na stopniach ołtarza, który postawiony na nogi, głową z pewnością ołtarz by przewyższył. Nieproporcjonalność ta jest tak widoczna, że dziwić się potrzeba jak uszła artysty uwagi.

Zakrystja księży Dominikanów w Krakowie przez p. Tomasza Łosika wykonana nie mniejsze posiada zalety. Wyborna perspektywa, staranność, dokładność, wierność, odpowiedni koloryt i dobry rysunek stawiają w rzędzie prac niezwykłej wartości.

PAGODA PODZIEMNA.

Na wysepce Elefanta, leżącej przy brzegach indyjskich, pomiędzy Bombay a wyspą Salcetta, znajduje się jeden z najznakomitszych pomników sztuki indyjskiej. Jest to świątynia podziemna wykuta w jednolitej skale. Całą masę gór, spoczywających na jej sklepieniu, podpierają potężne kolumny. Zewnątrz nic innego nie wskazuje jej istnienia, prócz podwójnego szeregu słupów, skałą uwieńczonych, z której zwieszają się bluszcze i dzikie krzewy. Ten rodzaj przedsionka, położony na końcu obszernej i odkrytej płaszczyzny, bezpośrednio prowadzi do korytarza, wykutego w skale i okalającego z trzech stron ściany pagody. Z korytarza trzy ogromne otwory, niczem nie zamykane, służą za wejścia do wnętrza świątyni. Główne wejście jest położone od północy, boczne zaś jedno od wschodu, drugie od zachodu. Światło i powietrze także tą samą drogą tam się dostają. Wysokość świątyni wynosi 120 stóp, długość 150.

Sklepienie, pyszne rzeźbione, spoczywa na 49ciu kolumnach, w równej odległości i w równoległych linjach ustawionych. Z powyższego układu wynika szereg naw, których porządek, w jednym tylko miejscu, przerywa czworoboczna kaplica, zbudowana w kształcie latarni, a obejmująca 4 olbrzymie posągi na 15 stóp wysokie, które stoją w rogach. Na samym zaś końcu głównej nawy, mieści się w niszy kolosalne popiersie o sześciu rękach i trzech głowach. Niezliczone zaś mnóstwo postaci, w płaskorzeźbie,

najrozmaitszych kształtów i rozmiarów, ozdabia do koła ściany, tej dziwnej świątyni, o której opis słabe tylko dać może wyobrażenie.

Sklepienia, kolumny, posagi, rzeźby, wszystko to jest wyciosane w jednej i tej samej skale, barwy szaro-żółtawej, podobnej do porfiru, a słabo oświetlone, przytępieniem światłem, które, jakżeśmy powiedzieli, przechodzi najprzód korytarze, nim się dostanie wewnątrz przez owe trzy otwory. Lecz panujący półcień, bynajmniej nie uwłacza tym kamiennym kształtom, — owszem niepewne oko, wystawia je sobie jeszcze większymi, jeszcze bardziej dziwnymi. Wspinałość i tajemniczość, które cechują starożytne Indyi pomniki, dochodząc do wzniosłości niesłychanej, silniej tu jeszcze przejmują umysł badacza.

Kolumny, — złożone ze słupów okrągłych, grubszych pośrodku, starannie w rowki rżniętych; spartych na czworobocznym podstawie, wieńczą kapitele także rowkowane, mające kształt spłaszczonej poduszki. Są one, jak widzimy, zupełnie odmienne od kolumn porządków greckich; ale całkowicie odpowiadające swemu przeznaczeniu: siła i trwałość, stanowią ich piękność; oparły się też wszelkiemu wpływowi czasu. Te co się obaliły, i leżą dziś w gruzach na ziemi, nie runęły w skutek starości, lecz pod młotem fanatyzmu chrześcijan jakoteż muzułmanów, za czasów inwazji Arabów i Portugalczyków. Niektórym brakuje podstawy; pomimo to, ponieważ są z jednej masy wykute, trzymają się sklepienia i wiszą w powietrzu, jakby jakie ozdoby architektoniczne gotyckich gmachów.

Dawniejsi archeologowie, rozpatrujący starożytności Indyi, przypisywali wykonanie świątyni w Elefanta, jedni wojsku Sezostrysa, drudzy Semiramidy, inni znów zastępom Aleksandra Wielkiego; i odpowiednio do swoich przypuszczeń, starali się wykazać, że płaskorzeźby na ścianach umieszczone, przedstawiają mają, to żołnierzy egipskich, to asyryjskich, to greckich. Tymczasem, głębsze badania miejscowości, rozproszyły tak twierdzenia jako i dowody. Dziś, jest już sprawdzonem, że ta osobliwa świątynia, jest i była zawsze pagodą, poświęconą na obrządki religii Brahmy. Płaskorzeźby zaś, wystawiają osoby prywatne, i przedmioty mitologii indyjskiej.

Wielkie popiersie, w nawie głównej, wyobraża tróję indyjską, to jest, połączenie w jedno ciało trzech bogów: Brahmy, Wisnu i Siwy. Pierwszy był uważany za Stwórcę, drugi za zachowawcę, a trzeci za niszczyciela wszech rzeczy. Jest to alegoryczne godło istnienia świata, który nie mógłby ani powstać, ani trwać bez wspólnego działania siły twórczej, zachowawczej i niszczącej, przyznawanych każdemu z tych trzech bogów.

Brahma zajmuje sam środek grupy: twarz jego jest spokojna i poważna; uszy nadzwyczaj długie, są ozdobione bogatymi kołczykami. Drogie kamienie, wykutnie szlifowane, podtrzymują fryzurę, złożoną z najrozmaitszych figurek. W prawej ręce, bożek trzyma kwiat *Tawarai* (*Nymphaea lotus*), jako godło, gdyż wedle podania, w nim na świat przyszedł.

Wisnu ma na głowie bogatą czapkę, na rękach bransolety; trzyma także taki sam kwiat co Brahma, i wpatruje się w niego.

Wyraz okrucieństwa cechuje fizjonomiją bożka Siwy. Z pod gęstych wąsów wystają mu dwa kły; oczy wlepił w węza okularnika, najjadowitszego w Indjach, który się przed nim rozkłada, i swe żądło wystawia. W miejsce drogich kamieni, głowę jego i szyję pokrywają gady, czaszki ludzkie, rośliny trujące, broń zabójcza. Po obu stronach bożyszcza, stoją jakby na straży, dwaj szesnastopowoi odźwierni, z tych każdy się opiera na karłowatym djable, o najeżonych włosach. Djaby te, mają być sługami Siwy, i wraz z nim przebywają w miejscach gdzie się zniszczenie odbywa.

Jakkolwiek Indyjanie pod względem religijnym, dzielą się na dwie sekty, z których jedni są wyznawcami Siwy, a drudzy Wisnu, z tem wszystkim, gdy ciż bożkowie są połączeni z Brahłą, w postaci *Trimurti* (trójcy), to im jednaka cześć się oddaje; co właśnie wyobraża pagoda w Elefanta; która wyłącznie jest poświęconą bożkowi Siwy, gdyż *sanctuarium* tylko jego posąg zawiera, i jego to głównie postać odznacza się w każdej grupie, z różnych figur złożonej na płaskorzeźbach zdobiących ściany.

Co do płaskorzeźb, to te, pomimo najstaranniejszego wykończenia, są pod względem sztuki, po za

wszelką krytyką; widać że były wykonane z natchnienia, bez poprzedzającej nauki o kształtach i rozmiarach ludzkich. Jednakże owe niezręczne postacie, są znakomite ugrupowane i czynią malowniczy efekt.

Przy wejściu na każdy z bocznych korytarzy, o których mówiliśmy, znajdują się kapliczki, wykute na wzór wielkiej pagody.

Nadaremni najuczciwszym badaczom starożytności, starali się uchylić zasłony, pokrywającej czas wzniesienia tej pysznej świątyni. Niewiadomo kiedy, ani też kto ją wybudował. Lecz ponieważ nie ulega wątpliwości, że ona jest zabytkiem najodleglejszych wieków, możemy ją więc odnieść do owej epoki, pierwotnej cywilizacji indyjskiej, której kroniki byłyby tak pożądane i ważne dla nas, a która tymczasem, na znak swego istnienia, przekazała potomności, tylko owe wiekiute budowle grunt zalegające; — i zarówno niewzruszone instytucje, na których się opiera stan społeczny, co zdołał bez uszkodzenia wytrzymać przez lat tysiące, tak napady nieprzyjaciół, jako i ciosy rewolucji wewnętrznych.

Dalszy ciąg objaśnień dodatku arkuszowego.

N. 19. Stanik wycięty podłużnie „en coeur“ z fałdami i falbankami.

Podawaliśmy już poprzednio formę stanika z fałdami na przodach, dziś do dawniejszej formy, zastosowaliśmy nowe przybranie stanika, na szczupłą figurę. Przody w fałdy ułożone, tak na siebie zachodzą, że niema wcale zęba, a wycięcie przodów noszone ze szmizetką, lub bez niej ma krótszą, okrągłą formę. Na przodach dają się tylko po dwie fałdy; garniturek stanika, składają dwie odwrócone falbanki z materji w zęby wycinanej, marszczone drobno, jak to widać na rycinie.

N. 20. Suknia z bretelkami.

Ten rodzaj ubrania, dawany także z materji w odmiennych kolorach zrobiony jest z cienkiego wełnianego materiału, z podwójnie wziętego prostego paska ułożonego w kontrafałdy. Tak powstała ruszka, ubiera stanik, przyszyte jej pokrywa podwójna pliska z jedwabną wypustką tego samego koloru, zakończona u dolnej ruszki, szeroką jedwabną frendzlą. Kokardy z materji dane między jedwabnymi guzikami, ozdabiają przody stanika, ubranego na rękawach i przy wykroju szyi ruszą i pliseczką. Pasek i szarfa mogą być z wierzchniego materiału, lub całkiem jedwabne.

N. 21. Haftowany szlaczek na fartuszki, kaftaniki, bluzki itd.

Złoty sutasz z pikotami po bokach, stanowiący środek szlaczka, przytwierdza się gdzie niegdzie zielonemi ścięgami; pikoty przytrzymują się długimi ścięgami w rodzaju listeczków z łańcuszka, między którymi idą jeszcze ścięgi szafirowego jedwabiu; zasiane wszędzie czarne paciorki dodają świetności, a zielone dziergane ząbki zakończenie szlaczka. Ząbki nie są konieczne.

N. 22.—37 Patarafka pod flakonik.

Szydelkowa robota i frywolitki „roboczą“ i „pomocniczą nitką“

Materiał: pasowe sukno, kręta przedza N. 100 i 80. do szydełka.

Skrócenie, Pod: wąż: zamiast podwójny węzełek to jest: 1 przełożenie i 1 przeciagniecie. **P. zamiast, Pikot O:** zamiast „oczko“ śc: ocz: zamiast „ściśle oczko“ śc: łań: zamiast „ściśle łańcuszkowe“ śl. zamiast słupkowe oczko po: zamiast „powietrzne oczko.“ Pikot robi się z 4. pow. ocz: w których pierwsze wrabia się 1. śc. ocz.

Między frywolitkową rozetą na pasowym suknie, pięknie odbijają szydelkowe bukiety, niby wypukłe, „en relief“ z białych nici odrobione, które osobno przedstawione wydają się jak porcelanowe (biscuit.) Choć wykonanie tej patarafka jest trochę mozolnem, przedstawia ona jednak godną uwagi robotę. Środkowa frywolitkowa rozeta, powiększona następnie

dołączonemi listeczkami koniczyny, wymaga 10 mniejszych i 10 większych, roboczą nitką najcieńszej przędzy odrobionych kółek; mniejsze nawłóczają się bocznemi pikotami na osobną nitkę, która po skończeniu kółek mocno się zaciąga. Każde małe kółko, wymaga 4. pod: wąż: 1. Pik: i znów 4 pod: wąż: każde większe bocznemi pik: połączone kółko, składa się 5 pod: wąż: 7 zawsze 3 pod: wąż: poprzedzielanych pikotów, i znów 5 pod: wąż. Następnie zaczyna się ostatni rząd. * 1 kółko z 5 pod: wąż: 5. zawsze 3 pod: wąż: poprzedzielanych Pik: i znów 5. pod: wąż: jak widzimy trzeci pikot służy do spojenia. Teraz znów przybierając pomocniczą nitkę, odrobić trzeba jeden pół-ząbek z 10. pod: wąż. złożony i jeden listek koniczyny, który ma ilość węzeł: i pikotów jak większe kółko środeczka wyżej wspomnianego. Powtarza się dziewięć razy od* Reszta rozetek, które tylko 9, większych i 9. mniejszych kółek w środku liczyć winny, ma pół-ząbek po 20. pod: wąż: wynoszący; każde kółko na listek koniczyny, liczy 4. pod: wąż: 9. zawsze 3 pod: wąż poprzedzielanych pikotów i znów 4. pod: wąż. Zupełnie jak ten, odrabiają się listki koniczyny do łączenia rozet pojedynczych użyte.

Jako podstawę na szydelkowe bukiety (z przędzy N. 80.) odrabia się od środka zaczęty owal przejrzystych słupków czyli laseczek, 3 1/2. cent: długi a 2. cent. szeroki na którym następnie przyszywają się kilkoma ścięgami kwiaty i liście między lekko przyfastrzygowanemi rozetkami z frywolitek będące. Rozmaite liście, przedstawione w naturalnej wielkości od N. 23—28. zaczynają się także w robocie od środka; na żyłki liścia potrzebny łańcuszek pow. ocz. obrabia się w części po obu stronach śc. oczk. lub ściśłami laseczkami, albo także tylko na jednej stronie ściśłami lub też przezroczystymi laseczkami.

Na odrobienie formy liścia N. 23 dorabia się do przezroczystych żyłek liścia naokoło dwa rzędy oczek, które przy korzonku, wydają się jak laseczki, zaokrąglone u dołu przez przybranie paru oczek; idąc w górę, szczególnie przy końcu liścia, kończą się śc. oczka. N. 24 i 27 przedstawiają listek z żyłkami ściśłymi laseczek; pozostała część liścia z jednego rzędu, ma na przemian słupki i pod. słupki na wypukłości zębów, a kończy się u góry na prostych śc. oczkach. Spód liścia N. 25 zaczyna się kilku śc. oczk. wrobionemi w łańcuszku, poczem naokoło, obrabiają się laseczki podw. słupki i znów śc. ocz. jak to widać na rycinie w następującym rzędzie. Karbowany liść N. 26 robi się jak podeszwa dzieciennego bucika, tam i na powrót, uważając aby od końca liścia, było tylko 9 podstawowych oczek. Przybierając odpowiednio przy końcu każdej żyłki przez cztery rzędy podwójne, uformujemy zęby liścia, które powstają z pozostawienia w każdym rzędzie kilku nieobrobionych oczek. Ści. łań. przy robocie którego, nitkę trzeba trzymać pod zrobionym liściem, odznacza jego żyłki. Liść o trzech zębach N. 28 podobny do bluszczowego, zaczyna się od żyłki środkowej z pow. oczek, obrobionej ściśłami i słupkowemi oczkami, poczem w podobny sposób dorabiają się dwie boczne żyłki. Podeszwa roboty dwóch rzędów śc. ocz. od korzonka idących, trzeba w rogach czyli zagłębieniach gubić, na końcach zaś liści spiczastych przybierać oczka. Pozostałe listeczki z małemi odmianami odznaczonemi na rycinach, łatwo się dają odrobić i podług N. 22 w jedną całość poukładać. **Kwiatki** N. 30 składa się z karbowanych niby pasków (jak przy N. 26) boczek długich, tam i na powrót obrobionych, które razem 18 rzędów liczą. Po początkowym i końcowym oczku, karbowanych pasków spajanych z sobą w okrąg, obrabia się z jednej strony ściśłami słupkami, poczem omijając kilka oczek daje się 2 rzędy śc. ocz. tak żeby ostatni, kończył się na 5 oczkach. Pięć na nich zrobionych i jednym pow. oczk. zebranych laseczek formuje kielich kwiatowy. Słupki kwiatowy, robi się z 5—6 śc. ocz. obrobionych tam i na powrót, przejmując oba brzegi oczek, które tak w górze, jak u dołu ściśle są ściągnięte. Zupełnie podobnym sposobem w karbowane paski, odrabiają się kwiatki N. 31—32 w trójkątny niby kwiatek. N. 31 zaczyna się od 3 oczek; każdy kąt składa się z 7 podwójnych rzędów, aż do 4 podw. rzędów, ilość oczek wzrasta aż do 9, poczem znów się jednako zmniejsza. Każdy siódmy podw. rząd, stanowi pierwszy drugiego kąta kwiatka. Cztery pętelki frywolitkowe o 19 pod: wąż. każda, wiszące na sztywniej podwójnej nitce (umaczanej w gumie)

stanowią kwiatowy słupek N. 32 złożony także z karbowanych pasków 4 oczka długich, wymaga po każdym pasku 5 pow. ocz. wkładając szydełko w 3 pow. oczko, robi się na każdy oddzielny listeczek trzy słupki. Po zrobieniu kielicha kwiatowego z 5 stup. i 1 pow. ocz. robi się kwiatek N. 33. Na słupkach, daje się w koło, 2 rzędy śc. oczek, potem idzie górna część kwiatka tak, żeby 1 śc. ocz. i 3 pow. formowały następujący rząd, znów trzy rzędy śc. ocz. i 1 rząd śc. słupków ostatni, z przybieraniem na rogach żeby te luźno wystające utworzyły pięć kątów kwiatka. Ostatni słupkowy rząd, bez przybierania w koło obrabiony, ukształtuje kwiatek z wywiniętymi brzegami, jak go widzimy w bukietkach zebranych na N. 22.

Podobnie jak poprzednie robią się sześć kątne i czterokątne kwiatki, (Obacz N. 35.) również od kielicha zaczęte, które w przedostatnim rzędzie, zawsze opuszczając 1. oczko mają na przemian 1. śc. oczko i 7 w jednym oczku wrobionych słupków; na zakończenie idzie jeden rząd śc. ocz. albo słupków. Cztery szydełkowe pikoty w kółko spojęne, i 8. pik. wystających na zewnątrz służą jako środek kwiatka N. 36. Wkoło nich a bardziej pod nimi, robi się 24. listeczek po których następuje 1. rząd śc. ocz. i 1. rząd pikotów. Mały kwiatek z kielichem N. 29. zakończony 5. ząbkami ma w każdym 1. śc. ocz. 5. słupków i jeszcze 1 śc. oczko, których lewa strona, stanowi prawą kwiatka. Od jego kwiatowego słupka, idzie najmniejszy kwiatek N. 37. zaczęty 1. śc. oczkiem w koło którego się 3 rzędy oczek obrabia, kończąc się na 8. śc. oczkach, tak żeby lewa strona roboty była na wierzchu. Opuszczając wszędzie 1. oczko, odrabia się 4. ząbki po 1. śc. oczku, 5. słupków i znów 1. śc. ocz. liczące. Kwiatki podobne do ostatnich dwóch dają się czasem jako środek do wykończonego dużego kwiatka (Obacz całość N. 22) Równie rozmaite jak kwiatki, można dać także słupki kwiatowe to szydełkową robotą, to frywolitkowe na sztywną nawlezione nitkę; czasem dają się jako dopełnienie bukietu pojedyncze wazy, uformowane z sztywnej nitki, okręconej na cienkim druciku, który się następnie wyciąga. Za nim się kwiatki i listki poprzyszywają na właściwych podstawach, dla sformowania bukietu, trzeba je zwilżać gumową wodą, a w miękkim suknie w połowie wysuszyć, ukształtować jak należy i przyszyć gdzie trzeba. Sukno użyte na patarafkę, 24. cent. średnicy trzymające, wycięte w ząbki po ułożeniu bukietu, fałduje się jak to widać na rycinie N. 22 i ozdabia kwastami na sznurach.

N. 38. Szarfa „à panier.“

Dla przybrania sukni, ozdobionej falbaną u dołu i falbankami albo ruszami, daje się ten rodzaj szarfy z wierzchniego lub odmiennego materiału, w miejsce falbanek koronką albo frendzlą oszytą. Cztery zaokrąglone u dołu końce, jak obydwie pukle, liczą 17. cent. szerokości są proste i wymagają podszycia, falbanki są 7 1/2. cent. szerokie. Długość spodniego końca, dochodzi 32. cent. bocznych 28. cent. górnego zaś tylko 18. Każdy z końców układa się w podwójną kontrafałdę, górny tylko w potrójną. Boczne strony trzeba cokolwiek przyciągnąć żeby każdy koniec wyglądał dobrze zaokrąglony, co przy ułożeniu całości, formuje kokardę. Oba pukle po 12. cent. długie, spaja węzeł, odpowiedni falbankom.

N. 39. Wszywka do bluzek, poszewek itd.

Frywolitki dwiema nitkami odrobione.

Środkowe gwiazdy wszywki z sześciu kółek sformowane, robią się roboczą tylko nitką i spajają bocznymi pikotami swoich kółek. Każde z nich liczy 30. pod. węz. z 1. pikotem we środku; nitki

spajające, obrabiają się potem dzierganem kółeczkiem.

Bocznymi pikotami spojęne kółka, składają się z 4 pod. węz. 1 pik. 6 pod. węz. 1 pik. i znów 4 pod. węz. do połączenia ich z środkową gwiazdą, służy zawsze jedno kółko z 30 pod. węz. złożone, i z przybraniem pomocniczej nitki, odrobiony pół-ząbek z 5 pod. węz. węz. powyżej opisane kółka i pół-ząbek tworzą z obu stron zakończenie wszywki. Prócz tego robi się łańcuszek pow. oczek chwytając pikoty kółek co stanowi szlaczek całkowity, lub przyszywa się pikoty na perkalu i przydziergawszy całą robotę wycina się materiał pod powstałą wszywką.

N. 40—41. Suknia wizytowa z pelerynką.

Suknia ta, złożona z gładkiej bluzki pod szyję ugarbirowanej spódnicy i pelerynki przypasanej paskiem zrobiona jest na modelu z gładkiego materiału z odmiennym ubraniem. Ukośne falbanki z nagłówkiem do wełnianych lub bareżowych sukien dają się z odmienną materji do perkalu w rzucik, powinny być jednokolorowe w cieniu rzucika. Ten rodzaj garnirowania dobrze się także nadaje do sukien odpasowanych poprzecznie, odcięte takie paski proste, układają się w kontrafałdy, formując ładną ruszę lub falbankę. Kokardy dają się z ukośnych listewek wierzchniego materiału, które zeszyte z boku kontrafałdują się z jednego boku i przewiązują przez środek przepięciem.

Opis kroju dwóch nocnych koszul damskich, koszuli dla panienki od 12 do 14 lat i majtek od 10 do 12 lat.

Koszula nocna dla kobiet.

Krój fig. 1—8 w dodatku.

Z cienkiego płótna kraje się podług figury 1, 2, 4 i 5 po jednej części wzdłuż linii środkowej w całości, podług fig. 3 dwie części z podwójnie złożonego materiału, podług fig. 6, 7 i 8 po dwie części również w całości i oprócz tego fig. 4, 5, 7 i 8 z podwójnego materiału. Długość koszuli zastosować trzeba do wzrostu osoby; w modelu przedstawionym, przednia część koszuli od ramion wynosi 136 cent. Do prawej strony rozporka koszuli przystębnowywa się 2 cent. szeroka listewka, zaopatruje dziurkami i garnirowuje dzierganą falbanką. Lewa strona otrzymuje listewkę dubeltową z guzikami.

Przód koszuli ułożony w 9 fałdków 3/4. cent. szerokie, urządza się podług formy i przystębnowywa skośnym paseczkiem 3/4. cent. szerokim, nieco w ukośnym położeniu. Po zeszyciu koszuli na bokach, obrębia się u dołu na 1 cent. szeroko i marszczy u góry od 5 do dwukropki stosownie do szerokości karczka z dubeltowego płótna, do którego się następnie na ramionach z wierzchu przystębnowywa i z lewej strony podwęgria.

Rękaw każdy zeszyty od 10 do 11, marszczony u ręki i wszyty do mankieta, garnirowuje się również falbanką jak i kołnierzyk.

Koszula nocna z haftowanymi wstawkami.

Krój fig. 10 i 11.

Koszula ta krajana podług formy wyżej opisaną, różni się tylko odmiennym rękawem i garnirunkiem ze wstawki haftowanej, którą się drobne ułożone fałdki u góry przegradzają. Do obszycia kołnierzyka i rękawów u ręki, używa się jeszcze langietki haftowanej.

Koszula dla dziewczynki od 12 do 14 lat.

Krój fig. 13—15.

Podług figury 13 kraje się przód i tył koszuli

w całości, w odpowiedniej długości, podług fig. 14 dwie części wzdłuż linii środkowej w całości i podług fig. 15 jedną część w całości z dubeltowego płótna. Po zeszyciu koszuli z boku od 22 do dołu obrębia się 1 cent. szeroko, u góry robi rozporek i obejmuje z lewej i z prawej strony 2 cent. szerokim paseczkiem, zaopatrzonym w dziurkę i guziczek do zapinania. Górny brzeg przodu koszuli zmarszczony od krzyżyka do dwukropki, plecy od środka do dwukropki, wszyte są w prosty pasek i przestębnowane na 1 i pół cent. od brzegu. Rękawy wszyte być powinny podług cyfer jednoznacznych.

Majtki dla dziewczynki od 10 do 12 lat.

Krój fig. 17—20.

Majtki krajać trzeba z cienkiego sztyrtngu podług formy 17 i 18 po dwie części wzdłuż linii środkowej w całości z dodaniem 3 cent. do tylnej górnej części na obrab. Podług fig. 19 kraje się cztery części, fig. 20 przedstawia część garnirunku układanego w fałdki i wyciętego w ząbki, później dziergane. Po zeszyciu majtek od 24 do 25 od 27 do 28, obejmuje się pozostały wykrój skośną 2 cent. szeroką plisną dla większej mocy. Do dubeltowego paska zeszytego na przodzie, z wypustką u góry, wszywają się marszczone majtki i łączą poprzecznie z tyłu od 29 do 30, tworząc obrab. do naciągania długich tasiemek. Dół majtek zmarszczony przyszywa się do haftowanej wstawki i garnirowuje falbanką.

Czasopismo *Przegląd Tygodniowy* życia społecznego, literatury i sztuk pięknych w następnym czwartym kwartale r. b. dołączy w osobnych arkuszach jako nadzwyczajny dodatek powieściowy, romans Aleksandra Dumasa syna:

Kameljowa dama.

Cena kwartalna na prowincji rs. 1 kop. 50 w Warszawie 90 kop. Biuro redakcji przy ulicy Nowolipie N. 2414/15.

Najświeższe paryzkie formy i modele

zupelnie wykonane, wielkości naturalnej, za pomocą których z największą łatwością każdy zrobić może w domu u siebie najwykwintniejsze ubranie damskie i dla dzieci, nabyć można przy ulicy Widok, numer nowy 14, mieszkania 4 na pierwszym piętrze, od godziny 9 rano do 5 po południu. Modele te i formy, które niedawno w Paryżu wyrabiać zaczęto, mogą być bardzo przydatne i dla osób trudniących się krawiectwem. Sprzedaż na Cesarstwo i Królestwo, odbywać się może w tym tylko jednym domu, za upoważnieniem głównego domu w Paryżu. (10,756).

Korespondencja.

Pani F. Brze. w Smoleńsku. Do sprawunków dołożyliśmy kop. 74.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza Ulica Żabia Nr. 956 dom dawniej Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami do N. 39 i 40 T. M6d.

Od Redakcji. W kwartale czwartym r. b. rozpoczynającym się z dniem 1 Października, Tygodnik M6d pod temi samymi co dotąd wychodzić będzie warunkami. Cena prenumeraty wynosi: Kwartalnie w Warszawie rs. 1 k. 80 na prowincji zarówno w Cesarstwie jak Królestwie rs. 2 kop. 50.

Pieniądze prosimy nadsyłać *wprost do Redakcji* pod adresem mieszczącym się w każdym numerze.

T R E S Ó.

N. 1. Kostium ranny. — N. 2. Codzienna suknia. — N. 3. Codzienna suknia dla młodych mężatek. — N. 4 i 5. Kołnierzyk z frywolitków. — N. 6. Kołnierz wykładany z musliu i wstawek. — N. 7. Kołnierz wykładany z koronek. — N. 9—10. Kostium spacerowy „Ecosais”. — N. 11—12. Spacerowe ubranie z wycinanym paletotem „Kostium Izabella”. — N. 13. Muslinowa krawatka z przystembnowanymi pliskami i koronką. — N. 14. Muslinowa krawatka z ząbkami. — N. 15. Suknia ubrana w pasy. — N. 16. Ubranie małego chłopczyka. — N. 17. Ubranie małej dziewczynki. — N. 18. Suknia z pelerynką i bufowanymi rękawami. — N. 19. Stanik wycięty podłużnie „en coeur” z faldami i falbankami. — N. 20. Suknia z bretełkami. — N. 21. Haftowany szlaczek na kaftaniki, bluzki i t. — N. 22. Patafalka pod flakonik. — N. 23—28. Listki. — N. 29—37. Kwiatki. — N. 38. Szarfa „à Pannier”. — N. 39. Wszywka do poszewek i t. d. — N. 40 i 41. Suknia wizytowa z pelerynką.

Rozmaite suknie

z magazynu p. Billaud w Paryżu, ulica S. Rocha N. 32.

N. 1. Ranny kostium z jasnego moheru, fularu, perkalu, żółtej albo białej piki, lub z batystu i musliu. Gładka spódnica jak również krótki kaftanik, ozdobione są u dołu plisowaną falbaną, przytwierdzoną pliską, resztę garnirunku formuje wyszycie łafcuszkowe i sutaszowe, lub poprostu maszynowe, ubierające spódnice „à tablier”, przód kaftanika i odpowiednie mu plecy.

N. 2. Codzienna suknia dla młodych mężatek. Prosty garnirunek gładkiej wyciętej „à l'antique” sukni, stanowi rusza z 5 do 6 cent. szerokich listewek. Koronkowa szmizetka i mankiety, czepek w rodzaju wieńczyka z koronkowej ruszy i kokardek ze spadającymi z tyłu dłuższymi końcami, dopełniają stroju.

N. 3. Suknia codzienna dla młodej osoby.

Na gładkiej sukni z materiału w pasy, ukośne pliski formują naszywie. Do podłużnego wykroju stanika odpowiedni widzimy kołnierzyk z cienkiego płótna, niby rodzaj jakiegoś wykładu. Na dawniejszym dodatku z deseniami, podaliśmy formę, takiego kołnierza.

N. 4 — 5. Dwa frywolitkowe kołnierzyki jedną nitką.

Dokładność rysunku, uwalnia nas, od szczegółowego opisu roboty, tak łatwo do wykonania podług wskazówek ryciny.

N. 6. Kołnierz wykładany.

Kołnierz ten uformowany z 70 cent. długiego pasa składa się z 3 i pół cent. szerokich bufek muslinowych, rozgradzanych 2 cent. szeroką tiulową lub muslinową haftowaną wszywką. Można go nosić na staniku pod szyję, lub podłużnie wyciętym, dla lepszego wykroju szyi, sześć do ośmiu marszczonych muslinowych bufek, należy w samym tyle zwięzić, żeby nie odstawały. Brzegi kołnierza ozdabiają się haftowanym szlaczkiem w ząbki, przystembnowanym dwarazem. Wykrój szyi, otacza 1. cent. szeroka, nadmarszczona koronka, która z drugiego brzegu kołnierza, 2. cent. szerokości, dochodzi. Piękna kokarda z at-

łasowej kolorowej wstążki, z koronkową rozetką i atłasowym kwiatkiem we środku spina kołnierzyk na piersiach.

N. 7. Kołnierz koronkowy wykładany.

Podobny formą do N. 6. kołnierz ten składa się z tiulowego pasa, założonego w rodzaj zęba na przodzie. Na takiej podstawie, naszywa się dopiero kolorowo podwlekana, 2. cent. szeroka, koronkowa wszywka, którą zakończa trzy razy dana walansienka odpowiedniej szerokości. Węższą koronką garnirowany w górze kołnierzyk ozdabia się jeszcze atłasowymi kłapkami, ukośnie naszytymi. W miejsce koronki, można użyć frywolitek jak np. kołnierzyka N. 4 i 5. z dzisiejszego numeru.

N. 8. Soknia biała muslinowa do teatru.

Prócz sutego ubrania spódnicy u dołu, garnirunek w kontrafaldy, formuje otwartą z przodu tunikę. Garnirunek dany na staniku stanowi szelki tak na plecach jak z przodu, a przy wykroju szyi jeszcze raz powtórzony tworzy rodzaj zagłębionego wycięcia. Wszystkie części garnirunku, oszyte są 1½ cent. szeroką koronką. Kontrafaldy 2½ cent. szerokie, dane w odstępie 2. cent. na spódnicy, zwiężają się do 2. cent. na staniku, przyczem odstępy tylko 1½ cent. liczą. Garnirunek spódnicy 38. cent. wynoszący na szerokość, przeszywa się u góry wązkim, przystembnowanym paskiem, przez co powstaje 3½ cent. szeroki nagłówek; u dołu zaś podszywa się pod falbanę 4½ cent. głęboko, 4 i pół cent. wystająca cząstka, która 9 cent. w całości wynosi. Garnirunek tuniki, trzyma 11 cent. szerokości, w miejsce nagłówka, ma gładko pasieczkiem przytwierdzoną koronkę całość zwięża się ku przodowi, aż do szerokości 6 cent. Garnirunek stanika wynosi tylko 7 cent., gładko koronką naszyty muslinowy pasek, spina mu-

Przód strojnego kostiumu tak dla młodych jak dla starszych osób, wzięliśmy z modelu, który przy spódnicy popielatej i gładkiej takiejże bluzce, miał okrycie i falbanę od dołu, w czarne duże kraty. Wspomniana falbana 31. cent. w całości licząca, ukośna, miała u góry wązki podwójny nagłówek, przytwierdzony 4. cent. szeroką aksamitną pliską, popielatą wypustką objętą. Taką plisą oszyta jest kraciasta część okrycia, którego przód w rodzaju kamizelki, daje się z aksamitu czarnego. Z tyłu widzimy także garnirunek z plis aksamitnych tworzących rodzaj sutęj kokardy; dolny brzeg rękawów u bluzki, z przodu na aksamitne guziki zapinané, miał także podobne naszywie.

Tyl kostiumu N. 10, przedstawia inne zupełnie urządlenie. Jest to model z cienkiego dosyć wełnianego materiału mieniącego, który ozlabiają pliski w pasy ukośno krajane i wypustkowane ciemniejszym materiałem; kamizelka powyżej wspomniana, daje się z materiału w paski ukośnie wziętego, przez co w szwie pleców schodzą się pasy i formują zęby. Tak co do kroju prostej spódnicy, jak bluzki, nie mamy nic do nadmienienia, na okrycie podajemy osobną szczegółową formę. Obiedwie części kamizelki, narysowane w naturalnej wielkości; na część peleryny dostatecznym będzie format zmniejszony, fig. 7. Po dług wskazówek jego, bierze się kawał materiału 65. cent. szeroki a 140. cent. długi, rozciąga prosto a przyłożwszy części kamizelki razem spojone, przykrawa się podług nich okrąg peleryny. Kamizelka wymaga dodatku 2. cent. materiału, na około, żeby się dobrze pod pelerynę podszyła. Zeszywszy z tyłu okrycie do którego podług naznaczonych linii przyczepia się materiały podszytą i wypustkowaną w koło kamizelkę, dają się w odpowiednio przybrané pelerynie, dwie faldki krzyżykiem i kropką na tylnym szwie małego formatu fig. 7, naznaczone. Jako spięcie pukli z listewek, dają się większe aksamitne, popielato wypustkowane węzły, łatwe do roz-

różnienia na ryc. 10. Próż tego, potrzeba jeszcze paska z listwy materiału, który przytwierdzony pod kokardami, przeciąga się na wierzch przez rozcięcie na Fig. 7 naznaczone i spina z przodu na kamizelce; rozcięcie trzeba wązką wypustką opatrzyć. Wszystkie rogi peleryny strojniej wyglądają z sutemi kwastami. Płaski, okrągły kapelusz, ubrany wysoko piórami, i spadającym woalem z tyłu, dopełnia całości.

N. 11—12. Spacerowe ubranie z wycinanym paletotem „Kostium Izabella”.

Krój paletota na dodatku N. 1. Fig. 1—4.

Kostium ten, szczególnie dobrze się wydaje, w połączeniu dwóch kolorów i materiałów. Model nasz N. 11 (tyl) więcej zbliżony do wymagań jesieni, składa się z sukni z ciemno brązowego, złotawo mienionego rypsu, i aksamitnego paletota. Gładką spódnice ozdabiają dwie ukośne 27 i 13 cent. szerokie falbany, każdą z wązkim nagłówkiem i 2 cent. szerokiem naszyciem aksamitnem czarnem. Na aksamitnym paletocie, odznaczają się bretełki ruszowe z materiału spódnicy, przytwierdzone aksamitką; kokardy podpinające z boku buffe paletota, jak i szarta z tyłu, dają się z ukośnych patk i plisek na połowę z aksamitu i materiału i podszywają materiały. Dla nadania sztywności szarfie i kokardom, układa się je na podstawie zaokrąglonej u dołu, 20 cent. wysokości, a 16 szerokości, dając sztywny muslin w środek.

Przód kostiumu N. 12 przedstawia ubranie z lekkiej, jednokolorowej alpaki. Do form w naturalnej wielkości podanych, dołączymy mały format, dogodniejszy do zrozumienia szczegółowych objaśnień



N. 1. Kostium ranny.

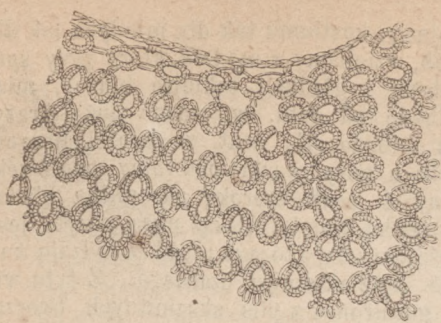
N. 2. Codzienna suknia dla młodych mężatek.

N. 3. Codzienna suknia.

linowa rozetka, do której domieszać można parę kolorowych kokardek.

N. 9 — 10. Kostium spacerowy „Ecosais” z peleryną.

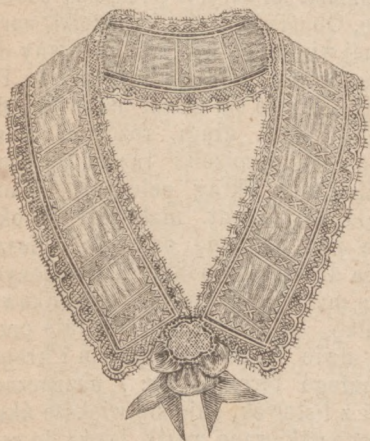
Krój peleryny na dodatku N. II. fi 5—7.



N. 4. Kołnierzyk z frywolitów.

dotyczących ułożenia fałdów paletota
aksamiitnego, który się zawsze materją
podszywa.

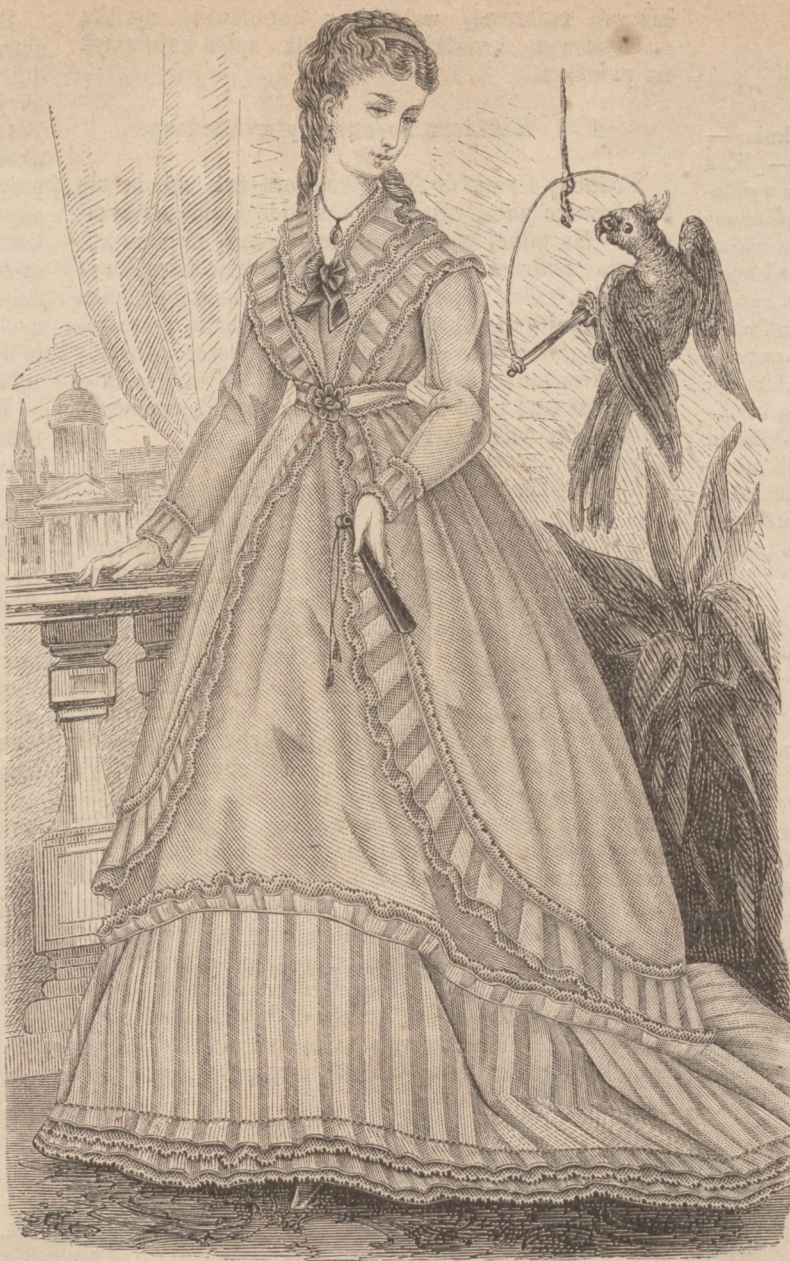
N. 13—14. Dwie muslinowe
krawatki.



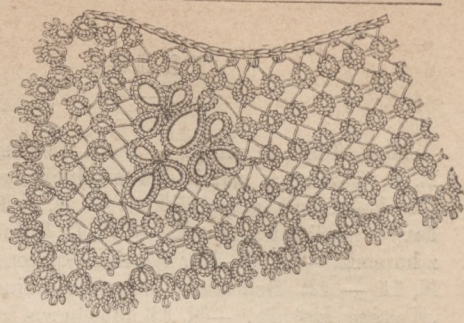
N. 6. Kołnierz wykładany z muslinu
i wstawek.

N. 13. Muslinowa krawatka oszyta
koronką i przystębnowanym ukosem.

Kołnierzyk i węzeł krawatki formują
dwie wąskie koroneczki, spojone gładko



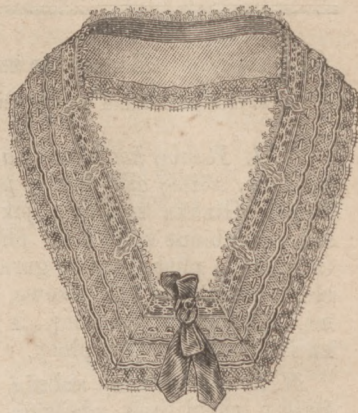
N. 8. Suknia biała muslinowa.



N. 5. Kołnierzyk z frywolitów.

ukosem. Węzłem spięta krawatka zwy-
czajnie naszyta, robi się z 17 i pół cent.
długiego, a 8 cent. szerokiego kawał-
ka muslinu, ostro na końcach ściętego.

N. 14. Muslinowa krawatka z szb-
kami.



N. 7. Kołnierz wykładany z koronek.

Naszycie 100 cent: długiego a 10 i pół
cent. szerokiego prostego kawałka z mu-
slinu, stanowi na końcach trzy rzędy zęb-
ków, składanych z wystębnowanej listew-
ki. Listewka ta złożona i z jednego brze-
gu przestębnowana, żeby $\frac{3}{4}$ cent. wy-



N. 9—10. Kostium spacerowy „Ecosais”.
(Krój okrycia w dodatku N. II. Fig. 5—7.

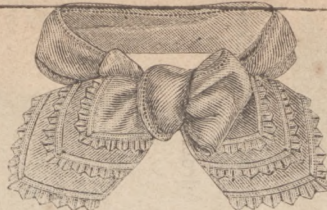
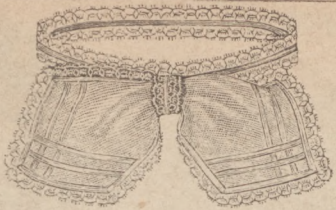


N. 11—12. Spacerowe ubranie z wcinanym paletotem „Kostium Izabella”.
Krój paletota w dodatku N. I. Fig. 1—4.

nosiła, po złożeniu ząbków, przytwierdza się prostą pliszką, tejże saméj szerokości.

N. 15. Suknia ubrana w pasy

z magazynu p. Delacroix w Paryżu na placu Bankowym N. 4.



Podobne ozdobienie sukni, bardzo dobrze wygląda, tak z materiału w pasy jak do strojnieszego ubrania

N. 13. Muslinowa krawatka z przystembnowanemi pliskami i koronką.



N. 14. Muslinowa krawatka z ząbkami.

również, luźnego kaftanika stanowiącego kostium chłopczyka, uwalnia nas od powtarzania tylokrotnie podawanego kroju, rycinę podajemy dla tego jedynie, żeby okazać jak ubranie to ciągle jest w użyciu. Ozdobę kostiumu stanowią guziki dżetowe i wełniana tasiemka. Garnitury takie bywają aksamitne, sukienne, lub z innych wełnianych materiałów, w najrozmaitszych cieniach zaczawszy od czarnego do



N. 15. Suknia ubrana w pasy.



N. 16. Ubranie małego chłopczyka.

N. 17. Ubranie małej dziewczynki.

ze wstążki, podług ryciny 15 naszytój. Do spódnicy w pasy gładkiej lub z falbanką ukośną u dołu, daje się jednokolorowa bluzka jaśniejszego cieniu, ubrana na rękawach i z przodu pasami oszytymi koroneczką jak na rycinie N. 15.

Model nasz przedstawia złoto-brązową jedwabną suknię, ubraną aksamitką, oszytą z dwóch stron, białą gipiurą, walczyką lub inną koronką. Spódnica tylko na przednim brycie ma ubranie z aksamitki.



N. 18. Suknia z pelerynką i bufowanemi rękawami.



odpowiednie klinastój formie bryta. Słupy w wąskich odstępach będące u góry, rozchodzą się szeroko do dołu. Szmuklerskie guziki białą materją obciągnięte, mają ozdoby z wierzchu w kolorze materiału sukni.

N. 16. Ubranie małego chłopczyka.

Powszechnie znana forma majtek po kolana, jak

jasno popielatego, jak brązowego, i granatowego. Pończochy po nad skórkowymi bucikami widoczne, dają się jakie kto chce, stosowne jednak do ubrania kapelusza i krawatki. Marynarski kołnierzyk cienki płócienny z przystembnowanemi kolorowemi paskami perkalu, wszywa się w pasek przyrządzony do przypinania na koszuli lub przyfastrygowania do kaftanika. Filcowy kapelusik popielaty, z wysoką dosyć główką ozdobiony jest rozetą i pliskami z popielatego repsu kolorowo wypustkowanemi.



N. 20. Suknia z bretelkami.

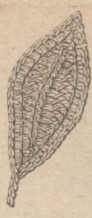
N. 19. Stanik wycięty podłużnie „en coeur“ z faldami i falbankami.



N. 23. Liść szedelkowy z ażurową żyłką.



N. 24. Gładki liść.



N. 25. Liść z szydełkową żyłą na wierzchu odrobioną.



N. 26. Liść w paseczki.



N. 27. Liść w ząbki.



N. 28. Liść bluszczowy.



N. 29. Kwiatek.

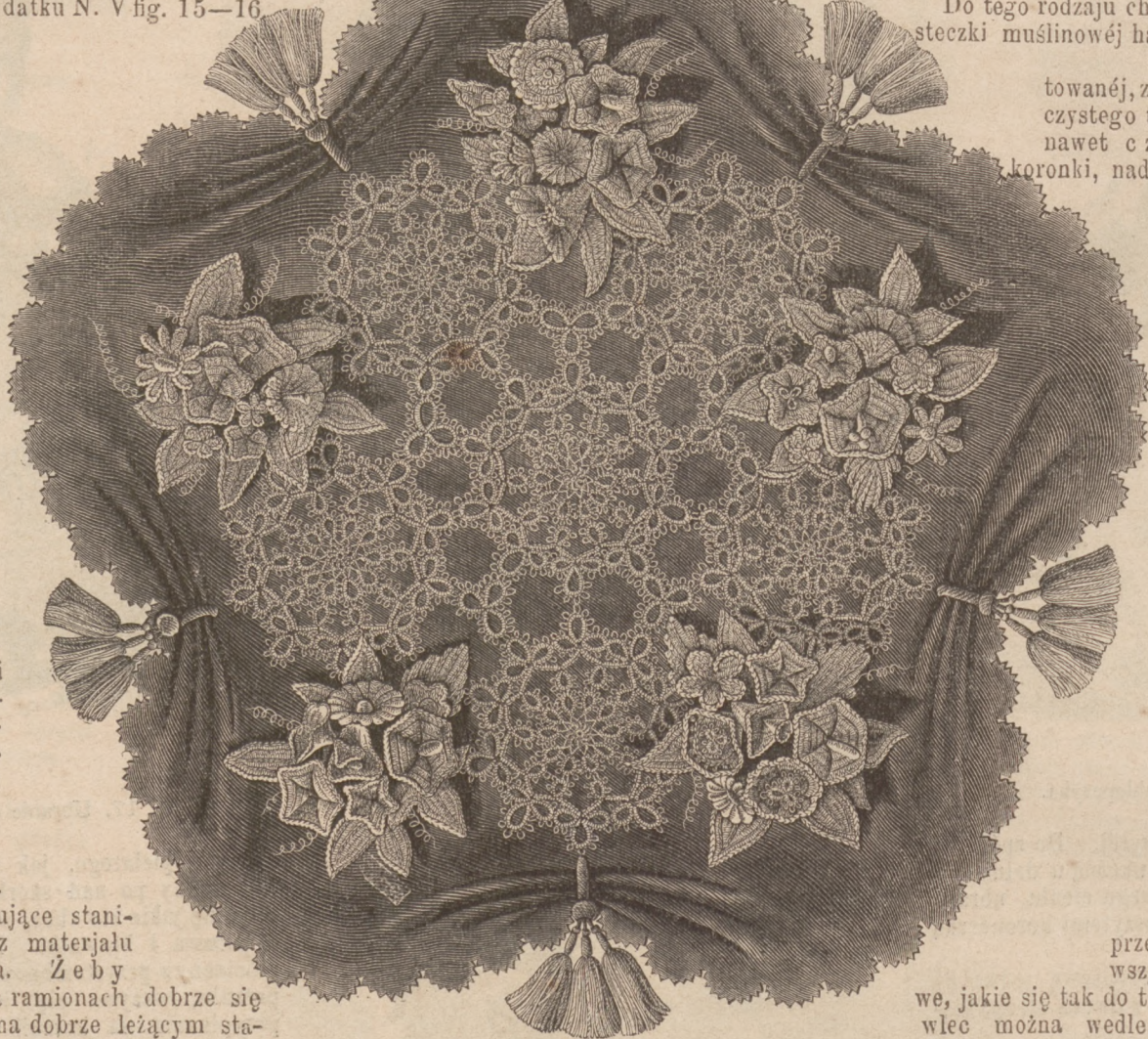
Model przedstawia sukienkę ze srebrno popielatej alpaki, przybraną rulonikami i pliskami atlasowymi w szkockie pasy. Tunikę, którą można także odznaczyć tylko naszyciem, podpinają z boku popielate alpakowe kokardy, obięte szkockim atlasem. Pasek i bretelki skrzyżowane z tyłu i z przodu na białej muslinowej bluzce, formujące staniczek, wymagają listewek z materiału wierzchniego i naszycia. Żeby bretelki szersze cokolwiek na ramionach dobrze się schodziły, radzimy ułożyć je na dobrze leżącym staniczku, podszywając sztywnym muslinem pod spodem. Pelerynkę, której formę dołączamy, należy w około i u wykroju szyi oszyć ruszą wierzchniego materiału, przytwierdzoną listewką naszycia. Pelerynka alpakowa, wymaga dla sztywności perkalowego podszycia. Wysokie skórkowe buciki z lakierowanymi nosami zapinają się z boku na guziki; płaski kapelusik zdobią pas manteryjny torسادka, kwiaty i kokardy ze wstążki.



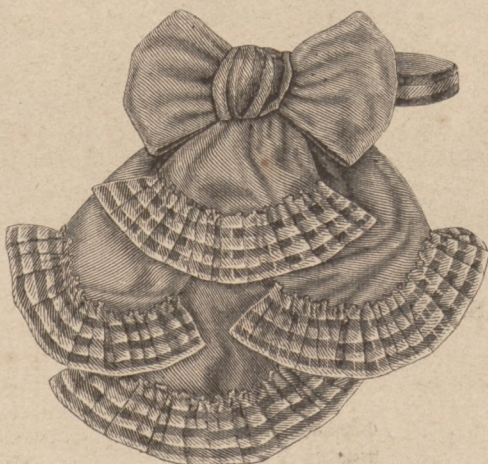
N. 40. Suknia wizytowa z pelerynką.

N. 21. Haftowany szlaczek na kaftaniki, bluzki i t. d.

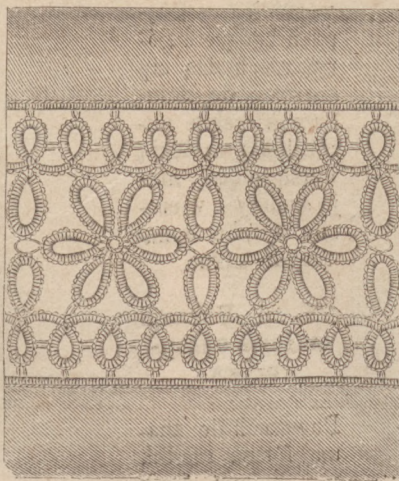
N. 17. Ubranie dla małej dziewczynki.
Krój pelerynki na dodatku N. V fig. 15—16



N. 22. Pataafka pod flakonik.



N. 38. Szarfia „à Panier“.



N. 39. Wszywka do poszewek i t. d.



N. 30. Kwiat karbowany.



N. 31. Kwiatek w trzy zęby.



N. 32. Kwiatek w listki.

N. 18. Suknia z pelerynką i bufowanymi rękawami.

Z magazynu p. Kieffer w Paryżu, na bulwarze Włoskim N 27.

Do tego rodzaju chusteczki muslinowej haft-

owanej, z przezroczystego tiulu lub nawet czarnej koronki, nadaje



N. 33. Kwiatek pięciokątny.

N. 34. Kwiatek sześciokątny.



N. 35. Kwiatek wyginany.

N. 36. Kwiatek z pikotami



N. 37. Mały kwiateczek.

się dwojaka forma staników. Na staniku pod szyję, kolorowy jego materiał przegładając strojnie się wydaje; przy krótkim gorseciku z gładkimi rękawami, uzupełnionym muslinową bluzką, kwadratowy wykroj naśladowająca chusteczka, także ozdobnie wygląda. Przy haftowanej muslinowej chusteczce, dają się także rękawy w buffy, przedzielane szeroką haftowaną wszywką. Wstawki koronkowe, jakie się tak do tiulu jak do muslinu nadają, podwlec można wedle gustu materją albo atlasową wstążką, odpowiadającą kolorem szarfie z kokardami, zdobiącemi także włosy. Dodajemy na koniec że do tego rodzaju pelerynki, staniki pod szyję dane być mogą tylko przy jednokolorowych sukniach; długie ich rękawy bardzo pięknie przegładają z pod bufowanych muslinowych.

Dalszy ciąg opisu dodatku, w Numerze 39 Tygodnika Mód.



N. 41. Suknia wizytowa z pelerynką.